

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 12 (1022) 23 MARCA 1980 R. CENA 2 ZŁ

W NUMERZE:

Chrystus cierpiący i kobiety ●
Zwiastowanie ● Przed intronizacją nowego arcybiskupa Canterbury – Prymasa Kościoła Anglikańskiego ● Nareszcie przyszła wiosna ● Deklaracja Kongregacji Doktryny Wiary w sprawie niektórych punktów doktryny teologicznej profesora Hansa Künga ● „Rodzina” – dzieciom



Śladami męki Pana CHRYSTUS CIERPIĄCY I KOBIETY

W dotychczasowych rozważaniach poznaliśmy postać zdrajcy Judasza i tchórzliwego Piotra, zastanawialiśmy się nad chwiejnością Piłata oraz cynizmem Heroda. Jednak żadna z wspomnianych osób, uczestniczących w wydarzeniach związanych z bolesną drogą Boga-Człowieka, nie zrobiła dobrowolnie nic dla ulżenia Mu w cierpieniach. Wykazali oni bowiem, jeżeli nie bezwzględność charakteru — to w najlepszym wypadku zupełną obojętność.

Jakże inaczej podczas męki Chrystusa zachowały się kobiety. Prawdą jest, że nie będąc dopuszczone do życia publicznego, nie miały po prostu możliwości oskarżać i sądzić Jezusa. Zachowały się jednak wobec Niego w sposób niezwykle szlachetny i budujący, okazując Zbawicielowi nie tylko współczucie, ale i pomoc. W rozważaniu dzisiejszym zastanowimy się nad tym, jak ustosunkowały się niewiasty do Syna Bożego w godzinach Jego męki.

oOo

Po powrocie od Heroda, Piłat jeszcze bardziej utwierdził się w przekonaniu, że Jezus jest niewinny i skłonny był go uwolnić. Zorientował się też, że Jego skazaniem na śmierć zainteresowani są jedynie religijni przywódcy żydowscy. Spodziewał się natomiast, że zgromadzony lud wypowie się za uwolnieniem Nauczyciela z Nazaretu. Okazją do tego miał być akt tradycyjnej amnestii paschalnej. Stąd też, zwracając się do pospólstwa, rzekł: „*Którego chcecie, abym wam wypuścił, Barabasa, czy Jezusa, którego zowią Chrystusem? (Mt 27,17). Zaś „Barabasz był zbójcą” (J 18,40).*

Wtedy właśnie spotykamy się z pierwszą kobietą, która odegrała pozytywną rolę podczas męki Chrystusa. Była nią żona Piłata. Zanim jednak lud zdołał się wypowiedzieć w tej sprawie, obok Piłata zjawiał się posłaniec od jego żony, która „*kazała mu powiedzieć: Nie wdawaj się z tym sprawiedliwym, bo dzisiaj we śnie wiele przez niego wycierpiałam” (Mt 27,19).* Pośród wrogów otaczających Jezusa zewsząd znalazła się tylko jedna słaba niewiasta, która odważyła się nazwać Go sprawiedliwym. Nareszcie ktoś zechciał stanąć w jego obronie. Prośba żony zrobiła na Piłacie ogromne wrażenie.

Klaudia Prokula (tak bowiem zwała się żona Piłata), według tradycji starochrześcijańskiej wywodziła się z dawnego rodu rzymskiego. Z jej postępowania można wnioskować, że była ona kobietą uczciwą i sprawiedliwą. Nie mogąc więc znieść spokojnie haniebnych oskarżeń, stanęła w obronie Chrystusa. Należy więc podziwiać jej odwagę, że ośmieliła się bronić nieznanego jej człowieka, chociaż wszyscy sprzyśleli się przeciwko niemu.

Posyłając mężowi ostrzeżenie chciała nie tylko okazać współczucie Chrystusowi. Powodowała nią również troska o męża. Zdawała sobie bowiem sprawę, że w związku z tym niecodziennym procesem ma Piłat wiele kłopotów. Więc w miarę swoich możliwości starała się mu przyjąć z pomocą. Nie potrafiła go wprawdzie ustrzec od tragicznego w skutkach błędu; zrobiła jednak wszystko, co było w jej mocy. W ten sposób spełniła ona rolę, jaką Bóg powierza każdej żonie, by była sumieniem rodziny, anięm stróżem męża oraz strażniczką czystości i uczciwości ogniska domowego.

Wśród niewiast szlachetnego serca, jakie Zbawiciel spotkał na swej drodze na Golgotę była również inna, która nie tylko łzami, ale czynem przyniosła Chrystusowi ulgę w cierpieniach.

Ona to — jak chce tradycja — spotkała Zbawiciela dźwigającego krzyż na wzgórzu Kalwarii. Z przerażeniem spostrzegła wtedy, że twarz jego zalana jest krwią i potem, oraz zbrudzona prochem ulicznym podczas bolesnych upadków pod ciężarem krzyża. Nie było jednak nikogo, kto ulitowałby się nad nim. I wówczas ta słaba niewiasta postanowiła przynieść ulgę cierpiącemu Chrystusowi. Z miłości ku cierpiącemu Panu, przewycięzała wszelkie obawy i względy ludzkie. Nie zważając na pogardę oprawców i niezadowolenie starszyny żydowskiej, przycisnęła się przez tłum i białą chustą otarła sponiewierane oblicze Jezusa. Jakież więc było jej zdziwienie, gdy — stosownie do przekazów tradycji — ujrzała na chustce wizerunek twarzy Syna Bożego. Takiego obrazu nikt jeszcze nie otrzymał w podarunku. Zaś od tego czasu nazywano ją imieniem Weronika (od greckiego: „vera ikon” czyli „prawdziwy obraz”). Szlachetny czyn tej niewiasty wspominamy przy szóstej stacji Drogi Krzyżowej.



Weronika ociera twarz Jezusowi

Pochód krzyżowy trwał dalej. W pewnym momencie — prawdopodobnie już poza bramami miasta — Chrystus dźwigający krzyż zauważył że „*szła za nim liczna rzesza... niewiast, które biadały i płakały nad nim” (Łk 23,27).* Były to niewiasty jerozolimskie, do których przyłączyły się, być może, niektóre niewiasty galilejskie towarzyszące zazwyczaj Jezusowi w jego podróżach misyjnych. W Jerozolimie bowiem, jak to wynika z pism rabinistycznych, istniało stowarzyszenie szlachetnych kobiet, których zadaniem było niesienie pomocy skazanym na śmierć. Jedną z form takiej pomocy było podawanie skazancom wina zmieszanego z kadzidłem, który to napój miał działać znieczulająco. Niewiasty te wykazały niezwykłą odwagę, okazując cierpiącemu Zbawicielowi publiczne współczucie. Bowiem głośne litowanie się nad skazanym wyrokiem Najwyższej Rady było surowo zabronione. Co więcej! W wypadku skazania kogoś na śmierć, najbliżsi jego krewni musieli przyjść i pozdrowić sędziów oraz świadków na znak, że nie żywią do nich urazy i są z wyroku zadowoleni. Zdobyć się na taki gest, zważywszy warunki w jakich miało miejsce to wydarzenie, na pewno nie było łatwe. Żołnierze rzymscy prowadzący Jezusa na stracenie zachowali się obojętnie. Tłumy szły na Golgotę, dla zaspokojenia ciekawości, zaś członkowie Sanhedrynu i starszyzna żydowska, by nasycić się cierpieniem skazańca. Zabrał to tych, którym On dobrze czynił. Nawet apostołowie pouciali. Stąd też współczucie niewiast jerozolimskich uwypukla się w szczególniejszy sposób.

Ich szlachetne uczucia względem Zbawiciela zostały odwzajemnione. Mając bowiem przed oczyma zbliżającą się klęskę Jerozolimy i jej kompletne zburzenie, widział Jezus również przyszłe cierpienia matek podczas tej katastrofy. Współczując więc im z powodu czekających je nieszczęść powiedział: „*Córki jerozolimskie nie płaczcie nade mną, lecz płaczcie nad sobą i nad dziećmi swoimi, bo oto idą dni, kiedy mówić będą: Błogostawione nieplodne i łoża, które nie rodziły i piersi, które nie karmiły. Wtedy zaczną mówić do gór: Padnijcie na nas! A do pagórków: przykryjcie nas! Gdyż jeśli się to z zielonym drzewem dzieje, co będzie ze suchym” (Łk 23,28-30).* Skoro bowiem ze skazanym niewinnie dzieją się dziś takie rzeczy, cóż będzie za lat czterdzieści, gdy katastrofa przydarzy się „*narodowi grzesznemu, ludowi obciążonemu winą, potomstwu złoślików, synom wyrodnym” (Iz 1,4).*

oOo

W rozważaniu dzisiejszym podziwialiśmy piękne przykłady współczucia dla cierpiącego Zbawiciela. Okazała go żona Piłata, Klaudia Prokula, która — jako jedyna stanęła w obronie niesprawiedliwie sądanego Chrystusa; Weronika, która nie zawahała się spełnić miłosiernego czynu dla ulżenia dźwigającemu krzyż Jezusowi; wreszcie niewiasty jerozolimskie, wbrew surowym zakazom w tym względzie serdecznie i głośno nad Nim się litowały.

Nie mamy możliwości — tak jak Weronika czy niewiasty jerozolimskie — spotkać na drogach naszego życia Chrystusa dźwigającego krzyż. A przecież chcielibyśmy ulżyć Mu w cierpieniu. Często możemy mieć okazję do tego, skoro Syn Boży utożsamia się z każdym z naszych bliźnich. Świadczą o tym słowa jakie skierował do wybranych w chwili ostatecznego rachunku: „*Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych moich braci, mnie uczyniliście” (Mt 25,40).* W myśl zasady, stawajmy zawsze w obronie pokrzywdzonych; pomagajmy tym, na których barki spadło nieszczęście; okazujmy współczucie cierpiącym. Tak postępując, świadcząc będziemy przysługę miłości samemu Zbawicielowi.

KS. JAN KUCZEK



„Onego czasu posłał Bóg anioła Gabriela do miasta w Galilei, zwanego Nazaret, do Panny poślubionej mężowi, któremu było na imię Józef, z rodu Dawida, a imię Panny Maryja. I wszedłszy do niej anioł rzekł: ...Oto poczniesz i porodzisz syna i nadasz mu imię Jezus... (Łk 1,26-31).

Ten sam anioł Gabriel, który zapowiedział poczęcie Jana, został posłany przez Boga do Nazaretu, do Maryi poślubionej Józefowi, aby jej zwiastować, że pocznie i porodzi Syna, któremu nada imię Jezus.

W zwiastowaniu zasadniczą rolę spełnia rozmowa pomiędzy aniołem Gabrielem i Maryją. Rozmowa ta powiązana jest przyczynowo z inną rozmową, która miała miejsce w raju i była jej przeciwieństwem. W tamtym rajskim spotkaniu również kluczowe znaczenie posiadał dialog pomiędzy niewiastą a aniołem, upadłym wprawdzie, ale przecież aniołem.

Te dwie rozmowy stanowią dla człowieka punkty zwrotne o ogromnym znaczeniu. Można je zrozumieć jedynie wówczas, kiedy je razem zestawimy. Oddzielone od siebie w czasie, są ściśle ze sobą powiązane. Pierwsza rozmowa już u początku dziejów człowieka zakładała drugą rozmowę. Człowiek wygnany z raju otrzymał nadzieję, że przyjdzie Mesjasz, który na powrót przyprowadzi człowieka do Boga.

Człowiek stworzony na obraz i podobieństwo Boga był cały ogarnięty Bożą miłością, mógł miłością odpowiadać na miłość, nosił w sobie obraz Boga. Wiąże go z Bogiem nie tylko to, że otrzymał istnienie od Boga, lecz wzajemną miłość. Taka sytuacja była do momentu kiedy to człowiek powiedział Bogu: „Nie”. Przeszła wówczas istnieć cała sfera nadprzyrodzona w człowieku, zamarła w nim Miłość.

Człowiek zbuntowany, odchodząc od Boga, pozostał nadal pod działaniem miłości Bożej — zabrał ze sobą nadzieję powrotu do Boga; obietnicę Odkupienia. Długą drogę wygnania przebył człowiek z tą obietnicą, coraz bardziej tęskniąc do Ojca.

Zwiastowanie w Nazarecie zapowiada kres tego wygnania i jest początkiem Nowego Przymierza, Przymierza Miłości. Rozmowa między aniołem i Maryją staje się przejrzysta, pełna treści i znaczenia jedynie na tle wydarzeń w raju. Przygotowuje ona powtórne spotkanie Boga z ludzkością; poprzez tajemnicze spotkanie Syna Bożego z Jego przyszłą ziemską Matką. Zdarzenie to całym swym bogactwem zaciążyło nad dziejami świata i człowieka, stało się początkiem nowej historii. Ono też jest kluczem do zrozumienia ludzkiej rodziny zarówno w przeszłości, jak i na przyszłość.

Spotkanie Syna Bożego z ludzkością było postanowione przez Boga, ponieważ tylko On mógł decydować o tym zdarzeniu. A jednak Bóg, który obdarzył człowieka wolnością i szanuje ją bardziej niż ktokolwiek inny, wciąga wolną ludzką decyzję w realizację planu zbawienia. Chce, aby człowiek wyszedł Mu naprzeciw. Sprawia, że przyszła Matka Jego Syna idzie Mu na spotkanie.

Niezwykła świętość, czystość i doskonałość człowieczeństwa Maryi jest wprawdzie nieświadomym, lecz rzeczywistym wyjściem na przeciw Bogu — i to tak daleko, jak daleko może to uczynić człowiek, tak bardzo ubogacony przez Boga jak Ona.

„Bądź pozdrowiona pełna łaski, Pan z Tobą...” (Łk 1,28). Słowa anioła zdradzają Jej tajemnicę. Żyła wśród ludzi, nie różniąc się od nich zewnętrznym niczym, była jedną z nich, ale równocześnie przetrastała ich swoim wewnętrznym bogactwem.

Bóg nie obawia się spotkania z grzesznikiem. Miłosierdzie Boże bierze w ramiona upadłego człowieka. Tam jednak, gdzie chodzi o spotkanie zawarte w słowach anioła: „Oto poczniesz i porodzisz Syna i nadasz Mu imię Jezus. Ten będzie wielkim i Synem Najwyższego nazwany będzie” (Łk 1, 31-32) — tam Bóg będzie szukał człowieczeństwa wyjątkowego, które zanim napelni się Bogiem jest już pełne miłości i łaski.

„Bądź pozdrowiona, łaski pełna, Pan z Tobą...” Szacunek Boga w stosunku do człowieka przejawia się nie tylko w fakcie, że Bóg pozwolił mu na czynne uczestnictwo w Odkupieniu, On chce mieć w spotkaniu wolnego i świadomego współpracownika. Przyszła Matka Zbawiciela nie jest tylko posłusznym ślepo narzędziem, Bóg oczekuje od Niej rozumnej i wolnej decyzji. Przebieg rozmowy wskazuje wyraźnie na to, że Najświętsza Maryja Panna zastanawia się głęboko nad całą sytuacją. Stawia pytanie: „Jakże się to stanie skoro męża nie znam?” (Łk 1,34).

Wolna i rozumna decyzja Maryi: *Niech mi się stanie według słowa Twego*” (Łk 1,38) — stanowi szczytowy punkt Zwiastowania i sprawia, że dwie osobowości: osobowość Boga i Matki spotykają się, związane bardzo ściśłym węzłem rodzinnym — jako matka i syn. To wydarzenie wyrokuję wszystkie inne historyczne spotkania Chrystusa z ludźmi w ciągu trzydziestu trzech lat Jego ziemskiego życia, a także spotkanie Boga z ludźmi wszystkich czasów i epok. Całe bogactwo zbawczego planu Bożego ma w Zwiastowaniu swój początek.

Decyzja Najświętszej Maryi Panny, wypowiedziana w krótkim: „*Niech mi się stanie*”, posiada jeszcze inną wymowę. Bóg spotyka się się w niej z człowiekiem, ale równocześnie człowiek spotyka się w niej z samym sobą, odnajduje najistotniejszą prawdę o sobie. A dzieje się tak, ponieważ w doskonałym człowieczeństwie Jezusa Chrystusa człowiek może dostrzec siebie takim, jakim stworzył go Pan Bóg, bez grzechu. W osobie narodzonego Chrystusa człowiek może odnaleźć utraconą nadzieję w przyszłość własnego człowieczeństwa. W osobie Jezusa widać człowieczeństwo doskonałe nie tylko jako wizja utraconej niewinności, lecz jako wizja przynosząca wyzwolenie, odkupienie i życie, jako nadzieja osobistego odrodzenia się w Jezusie Chrystusie. Człowiek uwikłany w słabościach, udrczony przez błędy i pomyłki, otrzymał zapowiedź przyszłej radości odrodzenia, wyzwolenia i pokoju wewnętrznego.

Ludzkość, która raz przyjęła Chrystusa nie uwolni się już nigdy od Niego, od Jego prawdy, od Jego miłości. Można to twierdzenie odwrócić i powiedzieć, że nikt i nic człowiekowi nie potrafi odebrać Chrystusa, ponieważ żadna moc nie zdoła rozdzielić w Jezusie Chrystusie bóstwa i człowieczeństwa.

Do tego faktu człowiek powinien powracać zawsze wtedy, gdy zagubiony w świecie, czuje się poniewierany zewnętrznym, lub załamany wewnętrznym, gdy tęskni za czystym, wolnym i pięknym człowieczeństwem. W tej tęsknocie może zawsze spotkać się z tajemnicą Jezusa Chrystusa i odnaleźć swoje miejsce w świecie.

Pozostaje jeszcze jedna strona spotkania w Zwiastowaniu. W naturalnym porządku rzeczy za macierzyństwo płaci się dziewictwem. Bóg jednak działa poza tym porządkiem. Boże działanie może tylko bogacić. Stąd też to jedyne, w dziejach ludzkości spotkanie Matki z Dzieckiem — stanowi ubogacenie pod każdym względem. nie zabierając niczego w zamian. Pomnaża wszystko i umacnia. „*Jakże się to stanie, skoro męża nie znam?... Duch Święty wstąpi na Ciebie i moc Najwyższego ostoni cię. Dlatego też Święte, które się narodzi, będzie nazwane Synem Bożym*” (Łk 1, 34-39).

K

ościół Polskokatolicki pozostaje, od 1931 roku, w żywej łączności, więcej, w interkomunii z Kościołem Aglikańskim. Duchowni tego Kościoła mogą odprawiać nabożeństwa w naszych świątyniach, a wierni przystępować do sakramentów świętych. Podobne prawa i przywileje mają nasi duchowni i nasi wierni w świątyniach anglikańskich lub episkopalnych w Anglii i na całym świecie. Interkomunię z Kościołem Anglikańskim zawdzięczamy naszej przynależności do Unii Utrechckiej Kościołów Starokatolickich, gdyż na podstawie Ugody w Bonn w r. 1931, wszystkie Kościoły tej Unii złączyły się interkomunią z Kościołem Anglikańskim. Ta ścisła łączność jest dla naszego Kościoła w Polsce i radością, i zaszczytem.

Kościół Anglikański tworzy wielką wspólnotę Kościołów rozsiąanych po całym świecie, z którymi jako Kościół — Matka — pozostaje w ścisłej łączności, choć nie podporządkowuje ich sobie jurysdykcyjnie. W ostatniej Konferencji w Lambeth wzięło udział 400 biskupów. Biskupi z Kościoła Episkopalnego Ameryki, Kanady, Afryki, Indii, Australii przewyższali liczbą biskupów Anglii. W Konferencji tej wzięli także udział, w charakterze obserwatora, arcybiskup Marinus Kok — moralny zwierzchnik Kościołów Starokatolickich Unii Utrechckiej. Jego obecność była przypomnieniem, że od pięćdziesięciu lat, od Ugody w Bonn, istnieje interkomunia z Kościołami Starokatolickimi w Europie i Ameryce. Polski Narodowy Kościół Katolicki w USA, na XV Synodzie Generalnym w październiku 1978 roku zerwał jednostronnie, a wierzymy, że tylko na pewien czas, interkomunię z Kościołem Episkopalnym w USA i Kościołem Anglikańskim w Kanadzie. Głównym powodem do podjęcia tej decyzji było udzielanie święceń kapłańskich kobietom przez oba, wyżej wymienione, Kościoły. Synod PNKK stanął na stanowisku, że „udzielanie kobietom sakramentalnych święceń kapłańskich jest sprawą zbyt poważną, aby mogła ona być rozwiązywana przez jedną gałąź Kościoła Katolickiego drogą jednostronnej akcji”. Należy przypomnieć, że stanowisko Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego dotyczące święceń kobietom było zgodne z uprzednią deklaracją Międzynarodowej Konferencji Biskupów Starokatolickich z dnia 7 grudnia 1976 r. W deklaracji tej m.in. stwierdzono: „Międzynarodowa Konferencja Biskupów Starokatolickich Unii Utrechckiej... nie wyraża zgody na udzielanie święceń kobietom do spełniania katolicko-apostolskiego urzędu diakona, kapłana i biskupa (...) Sprawa wyświęcania kobiet należy do podstawowego porządku i misterium Kościoła. Kościoły, które zachowały ciągłość ze starym i niepodzielnym Kościołem oraz jego sakramentalnym i kapłańskim urzędem powinny wspólnie przedyskutować zagadnienie sakramentalnego udzielania święceń kobietom, będąc w pełni świadomymi ewentualnych konsekwencji wynikających z jednostronnych decyzji”.

Powyzsza deklaracja nie stała się jednakże podstawą do zerwania przez MBKS sakramentalnej jedności z Kościołami Wspólnoty Anglikańskiej. Polski Narodowy Kościół Katolicki w USA i Kanadzie uczynił to jednostronnie, na własną rękę, bez porozumienia się z Międzynarodową Konferencją Biskupów Starokatolickich, choć była to sprawa zbyt poważna, by można ją było jednostronnie rozstrzygać, tym bardziej że święcenia kobietom udzieliły tylko niektóre Kościoły Wspólnoty Anglikańskiej.

Kościół Polskokatolicki w Polsce, choć pozostaje w serdecznej, braterskiej więzi z Kościołem Narodowym w Ameryce, to jednak będąc jurysdykcyjnie niezależnym, nie jest zobowiązany do podporządkowywania się dyscyplinarnym czy administracyjnym u-



PRZED INTRONIZACJĄ NOWEGO ARCYBISKUPA CANTERBURY PRYMASA KOŚCIOŁA ANGLIKAŃSKIEGO



(dalszy ciąg na str. 5)

chwałom Synodów PNNK. Kościół prowadzi własną działalność religijną i dlatego, wraz z innymi Kościołami Unii Utrechckiej, trwa nadal w sakramentalnej interkomunii z Kościołem Anglikańskim. Wyrazem tej interkomunii jest współudział w liturgii naszego Kościoła duchownych Wspólnoty Anglikańskiej, którzy jako przedstawiciele swoich Kościołów przybywają do Warszawy na konferencje pokojowe i inne. Przybywają z wielu stron świata, z Japonii, Australii, Kanady, Ameryki, Anglii itp. Nie tak dawno np. gościliśmy w naszej katedrze w Warszawie dostojnego gościa — Rogera Patricka, anglikańskiego biskupa z Oxfordu, który przybył do Polski na Konferencję Prezydium Kościołów Europejskich jako jeden z siedmiu jej prezydentów. Biskup Ordynariusz Diecezji Oxfordzkiej wygłosił w katedrze polsko-katolickiej w Warszawie słowo Boże, a podczas Mszy św. przyjął Komunię św.

Kościół Anglikański w Anglii, ze swej strony, docenia naszą postawę, a wyrazem tego jest najświeższej daty zaproszenie biskupa Tadeusza Majewskiego, zwierzchnika Kościoła Polskokatolickiego, na uroczystość intronizacji nowego, 102 arcybiskupa Canterbury, Roberta Runcie, dotychczasowego biskupa opactwa St. Albans.

Intronizacja odbędzie się w czwartek, dnia 25 marca, w przepięknej, ogromnej, ponad 700 lat istniejącej katedrze w Canterbury. Jest ona kościołem — matką — całego anglikanizmu, jego duchowym domem Bożym



oraz katedrą Prymasa Anglii. Zaproszenie na uroczystości intronizacyjne wręczał Biskupowi Tadeuszowi Majewskiemu Ambasador Brytyjski osobiście, składając równocześnie wizytę w Prezydium Rady Kościoła Polskokatolickiego. Zwierzchnik naszego Kościoła podziękował serdecznie Ambasadorowi, a do Arcybiskupa wystosował pismo, w którym m.in. napisał: „Jestem głęboko wzruszony tym, że wśród wielu delegacji z różnych Kościołów i z różnych stron świata, znajdzie się także delegacja naszego Kościoła, który — jak to wiadomo Waszej Eminencji — pozostaje od wielu lat w interkomunii sakra-

mentalnej z Kościołem Anglikańskim. Będzie to także pierwsza oficjalna wizyta delegacji naszego Kościoła złożona Głowie Kościoła Anglikańskiego. Chciałbym zapewnić Waszą Eminencję, że nie tylko ja osobiście, ale cały nasz Kościół, będzie zanosił modły do Boga, aby rządy Waszej Eminencji były jak najbardziej owocne dla całego Kościoła Anglikańskiego”.

Oby życzenia Biskupa Tadeusza Majewskiego — z Bożą pomocą — spełniły się.

Ks. E. BALAKIER

1. Królowa Elżbieta II — Głowa Kościoła Anglikańskiego
1. Robert Runcie — nowy arcybiskup Canterbury
3. Katedra w Canterbury

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (437)

Jczyli wykonywania określonych funkcji na podstawie jego pełnomocnictwa, upoważnienia, i na określony czas. Podobnie rzecz się ma z → proboszczami i innymi kapłanami; pierwsi z nich, więc proboszczowie, mają w swoim zakresie i na terenie swojej parafii po ich formalnym ustanowieniu przez legalnego biskupa ordynariusza lub prawnie upelnomocnionego współpracownika (np. → wikariusza generalnego) jurysdykcję zwyczajną, inni zaś kapłani również w określonym zakresie i na określony czas jurysdykcję delegowaną, delegowaną przez danego proboszcza, lub wyjątkowo bezpośrednio od miejscowego biskupa ordynariusza (oczywiście jurysdykcję albo władzę jurysdykcyjną, potrzebną np. do błogosławienia małżeństw, trzeba odróżnić od władzy wypływającej ze → święceń biskupich czy → kapłańskich).

W Kościele rzymskokatolickim pełną i zwyczajną jurysdykcję w całym tym Kościele ma każdorazowy → papież, a w uzależnieniu od Niego biskupi ordynariusze na swoim ściśle określonym terytorium, których to biskupów ordynariuszy sam mianuje, w niektórych przypadkach zgodnie z panującym w danym państwie ustawodawstwem wyznaniowym.

Akty jurysdykcyjne tzw. zakresu wewnętrznego (po łac. iurisdictionis fori interni) dotyczą publicznych, zewnętrznych, działań papieża czy biskupa, czy proboszcza, w stosunku do swoich wiernych i wszystkich spraw związanych z Kościołem, diecezją, czy parafią. Natomiast akty jurysdykcyjne tzw. zakresu wewnętrznego (iurisdictionis fori interni) dotyczą ich działań, każdego w granicach swoich kompetencji, również wszystkich mających jurysdykcję zwyczajną czy delegowaną, czy władzę wypływającą ze święceń spowiedników, w stosunku do kierowania sumieniami swoich wiernych. Sprawy tego wewnętrznego zakresu, sprawy sumienia, bywają w zasadzie omawiane i załatwiane, czy rozwiązywane w → sakramencie pokuty, w tzw. spowiedzi usznej (w konfesjonale), albo poza spowiedzią, a więc i poza dziedziną sakramentalną w bezpośredniej, jednak zobowiązującej do tajemnicy, rozmowie np. w kurii biskupiej, czy w biurze parafialnym.

Justificatio — (łac.) — Usprawiedliwienie.

Justyn — (ur. ok. 100, zm. ok. 165) — jest też nazywany Filozofem, a był pierwszym apologetą chrześcijańskim. Urodził się z rodziców pogańskich. Najprawdopodobniej ok. 130 r. przyjął chrzest św., i odtąd stał się gorliwym krzewicielem chrześcijaństwa jako wędrowny nauczyciel-filozof i teolog. Głównie wszelako na wzór — Platona i jego Akademii, a również — stoików i pod wpływem ich poglądów wykladał i propagował chrześcijaństwo, broniąc przede wszystkim przed zarzutami przeciw religii chrześcijańskiej kierowanymi i przeciw samej doktrynie chrześcijańskiej jako nowemu, również prądowi filozoficznemu, głównie w Efezie i w Rzymie. Najprawdopodobniej nie był kapłanem, ale został później ogłoszony świętym. Wiele swoich wykładów i dysput oraz inne tematy również spisał, ale zachowały się obok fragmentów z różnych jego prac *Dwie Apologie*, skierowane do ces. Antoninusa Piusa (138—161) i ces. Marka Aureliusza (161—180), oraz *Dialogus cum Tryphone*, czyli *Dialog z Tryfonem* (Tryfon był uczonym żydowskim rabinem). W pracach swoich obok wykładu, czy obrony atakowanych prawd chrześcijaństwa przede wszystkim dawał wyraz swojej wierze w bóstwo Chrystusa Pana, w istnienie życia wiecznego, czyli w nieśmiertelność duszy ludzkiej, oraz konieczności przyjęcia chrztu i jego skutkom nadprzyrodzonym, jak również pismami swoimi dał dowód w istnienie i wiarę chrześcijan pierwszego i drugiego wieku w → Eucharystię. Zginął śmiercią męczeńską w Rzymie wraz z sześcioma swoimi towarzyszami z rozkazu prefekta miasta Rustyka za panowania ces. Marka Aureliusza.

Justyn Michał Poljański — (ur. r.?, zm. 1903) — to prawosławny teolog i biskup na kilku kolejno stolicach biskupich. Jest autorem wielu prac teologicznych, które ukazały się łącznie w XII tomach (I—10 w 1895 r. i 11—12 w 1896 r.).

Justynian I — (ur. 483, zm. 565 w Konstantynopolu; cesarzem

ŻYCIE TOWARZYSKIE

Istnieje pogląd, który na pierwszy rzut oka można równie dobrze przyjąć jak i odrzucić, że istotą życia społecznego jest życie towarzyskie. Niektórzy idą dalej i powiadają: pokaż mi swoje towarzystwo, a powiem ci kim jesteś. W obu opiniach wiele jest prawdy. Tak zresztą bywa ze wszelkimi poglądami, które mówią o wszystkim naraz. Nie na darmo przecież chętnie powtarzamy wszelkiego rodzaju przysłowia, przypowieści, anegdoty, żywiąc głębokie przekonanie o ich słuszności, trafności itp. Do znudzenia też przypominamy o mądrości narodów zawartej w przysłowiach i najzwyczajniejszych komunalach. Jeśli już jest mowa o przypominaniu, to i ja przypomnę, że tym i owym narodom zdarzało się wypowiedzieć równą ilość głupstw, co i mądrości. Widać taka natura mądrych rzeczy, że jaśnieją tym większym blaskiem, im w potężniejszym morzu głupoty krążą.

Życie towarzyskie — można rzec bez specjalnego niepokoju — po brzegi wypełnione jest rozprawianiem o mądrości własnej i głupocie bliźnich. Przyznam, że rzadko zdarza mi się uczestniczyć w spotkaniu nie zobowiązującym do szczególnego wysiłku intelektualnego, by nie dosięgła mnie rozmowa o braku rozumu u tego albo tamtego. Widać ze wszystkich twierdzeń, jakie wypowiedział siedemnastowieczny filozof francuski Rene Descartes, z polska zwany Kartezjuszem, najtrafniejsze jest to, że rozum jest rzeczą najrówniej podzieloną wśród ludzi, bo nikt nie narzeka na jego brak. Za to — dodajmy — z łatwością ten ubytek dostrzega u bliźnich.

Życie towarzyskie to szczególna okazja do przedstawienia mądrości własnej. Różne są tego sposoby, w zależności od tego, co ten i ów za mądrość uważa. Jeszcze nie tak całkiem dawno, zamożne a wysoko mierzące rodziny specjalnie wyjeżdżały do modnych miejscowości w całej Europie, chodziły na wszystkie premiery liczących się teatrów, czytały najbardziej zidiociałe powieści dla po to tylko, by po powrocie lub lekturze właściwie wypaść w towarzystwie. Obyczaj tego nie zamierzam potępić. Przeciwnie — pochwalam. Kto może, niech jeździ, kto chce, niech ogląda, kto ma czas, niech czyta. Podróże wszak kształcą, teatry bawią, lektury uczą. Ale dzisiejsze życie towarzyskie jest jakby wyprane z tego co zdarzyło się tego roku w Baden-Baden, w Krynicy czy gdzie in-

dziej. O teatrach, owszem, mówi się, ale jakoś niechętnie, najwyżej przy okazji rzeczywiście niebywałego wydarzenia, a i to raczej w kręgach zawodowców. Co do książek — nie warto w ogóle wspominać. Dziwi mnie tylko, dlaczego nie mogą od dłuższego już czasu kupić książek, na których mi akurat zależy. Więc ludzie jednak czytają. Lecz przecież nie namawiają mnie do rozmów o nich. Może dochodzą do wniosku, że ze mną nie warto. Może to rzeczywiście powód. Może jest inaczej. Jeden z moich ulubionych autorów opowiadał przed laty, że poradził swemu przyjacielowi, aby ten kupił komuś tam książkę na prezent. Ten zaś odparł: „— Co ty, książkę to on już ma”. Więc gdzie indziej trzeba szukać przyczyn, by znikające, a niegdyś żywotne tematy życia towarzyskiego pojać.

Z odwiecznych spraw towarzyskich najpełniej ostała się polityka. Ta rzeczywiście gości w każdym gronie, które uważa prawie za swój obowiązek podnieść podstawowe problemy społecznego świata. Polityka jak pogoda. Może dlatego, że obie zmieniają się równie często. Wydarzeń prawdziwy natłok, rozebrać się w nich samemu nie sposób. Najlepsze do tego towarzystwo. To znaczy do polityki nie do rozbierania. Jednak różnie z tym bywa. Niedawno czytałem, chociaż książka raczej stara, że towarzystwo we właściwym tego słowa rozumieniu narodziło się w momencie powstania polityki i tego, co w uczonych księgach nazywają *homo politicus*, człowiekiem politycznym. Racja, święta racja. Polityka to wszak kwestia władzy. Życie towarzyskie — to też swoisty teren walk. Ileż w nim dyplomacji, serdecznej wymiany pozdrowień, uprzejmości i końcowych komunikatów. Nie trzeba być wybitnie kształconym korespondentem prasowym, by z jednego czy drugiego spotkania towarzyskiego ułożyć wiarygodny tekst notatki gazetowej. Czyżby życie towarzyskie przypominało politykę? Twierdzą coś więcej. Ono przekształciło się w szczególny rodzaj polityki. Czy jest również odwrotnie, nie wiem. W każdym bądź razie wszyscy jak jeden mąż staliśmy się politykami. A niejedni żywi nadzieją i pewnością, że byłby w polityce równie mądry, jak ten, którego w dziesięjszej rozmowie nazwał głupcem. Póki jednak co, namawiam do znalezienia lepszych tematów. Dysponuję odpowiednim katalogiem. Chętnym udostępniam bezinteresownie. Niechętnych odsyłam do prasy bieżącej i na pozostałe strony tygodnika „Rodzina”.

JERZY GRAS

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (438)

bizantyjskim od 527 r.) — usiłował jako cesarz wskrzęsić upadłe Cesarstwo Rzymskie w dawnych granicach, czego jednak nie osiągnął. Podobno pochodził z rodziny słowiańskiej i jego imię brzmiało *Uprawda*, co znaczy po łacinie *iustus* (= sprawiedliwy), stąd Justynian. Był cesarzem surowym i wymagającym, co spowodowało nawet zorganizowanie przeciw niemu powstania ludowego w 532 roku, które krwawo stłumił. Chciał niewątpliwie rozwoju chrześcijaństwa a zaniku pogaństwa. Zlikwidował m.in. niemal bez przerwy dziewięć wieków istniejącą Akademię Platónską w Atenach. Wkraczał jednak też bardzo autorytatywnie w sprawy kościelne, nawet czysto teologiczno-dogmatyczne, co nie jednało mu przychylności. Doprowadził również do praktyki zatwierdzenia przez cesarza wyboru nowego papieża. Niemal permanentnie prowadził wojny: z Persami, ale i plemionami germańskimi, a również słowiańskimi. Zastugą jego m.in. jest skodyfikowanie prawa rzymskiego w latach 528—534 wprowadzone przez znanego wtedy prawnika Tryboniana, ale pod swoim bezpośrednim czynnym kierownictwem (Justynian miał dobre wykształcenie). Również pamięć o nim przez wieki sławiła wspaniała budowla — świątynia *Świętej Mądrości*, znana jako → Hagia Sophia. Usiłował też jednoczyć faktycznie już wtedy podzielone herezjami chrześcijaństwo i skupić je jako całość wokoło siebie i papieża. W dziejach chrześcijaństwa i jego instytucjonalizacji, czyli Kościoła chrześcijańskiego, katolickiego, ces. Justynian I zajmuje poczesne miejsce.

Juszyński Michał Hieronim — (ur. 1760, zm. 1830) — to ks. rzymskokat., poeta i bibliograf. Jest autorem wielu poematów, również o treści religijnej, zawartych w trzytomowym zbiorze pt. *Rymy i proza* (1787—89), oraz wielu satyr; nadto jest autorem *Dykcyonarzy poetów polskich* (2 t.; ok. 1300 ha-seł). Napisał też 2 tomy *Kazań*; *Historię synodów polskich*; *Chronologiczny spis najdawniejszych druków polskich inkunabulów*.

Jutrznia — to polski termin łacińskiej nazwy modlitw zawartych w — brewiarzu pt. *Matutinum*, odmawianych przez księży rzymskokat., a w innej formie również przez zakonnice i in. członków różnych zakonów, wcześniej rano w kościele, w zasadzie katedralnym czy przyklasztornym lub w kaplicy już się jawi jutrzienka (niekiedy jednak te modlitwy rozpoczynają się już, względnie jeszcze w godzinach nocnych, stąd też ich części, trzy albo dziewięć, zwą się nocturnami (od łac. *nox* = noc). W środę, czwartek i piątek → Wielkiego Tygodnia po południu odprawiana w Kościele katolickim jutrznia zwie się ciemną jutrną; dawniej odprawiano ją niemal przez całą noc aż do świtu, więc w ciemnościach nocy, stąd nazwa — ciemna.

Juvenus Cajus Vectius Aquilinus — żył w IV w. Był kapłanem katolickim i poetą. Ok. 329 r. napisał heksametrem, czyli wierszem sześciostopowym albo, jak to się nazywa w poezji nowożytnej — wierszem sześciopakcentowym tzw. harmonię czterech ewangelii pt. *Evangeliorum libri IV*, albo *Historiae evangelicae libri IV*, czyli *Cztery księgi ewangelii* (dzieło to po raz pierwszy wydano w Paryżu w 1499 roku). Juvenus otrzymał miano *Vergilius christianus*, czyli miano Wergiliusza chrześcijańskiego.

K

Ka — w mitologii egipskiej oznacza, względnie jest nazwą sumy wartości duchowych, które człowiek otrzymuje dzięki mocy boskiej, nazywanej po egipsku-arabsku *ach*, i duszy, nazywanej *ba*, w chwili swojego poczęcia, a które razem wzięte stanowią istotę osobowości człowieka. *Ka* nie opuszcza ciała również po śmierci człowieka i jest razem z ciałem w grobie.



KRZYŻ — znakiem miłości i ocalenia

Krzyż Jezusa Chrystusa stał się znakiem siły i zwycięstwa. Bowiem — według słów prefacji o Krzyżu świętym — szatan, odwieczny wróg rodzaju ludzkiego, „który na drzewie rajskim zwyciężył, na drzewie krzyża... został pokonany, przez Chrystusa Pana naszego”. I od tej chwili zaczął się trwający prawie dwa tysiące lat pochod ludzkości do krzyża Chrystusowego, szukającej w nim pomocy i siły. Wypełnia się w ten sposób zapowiedź Boga-Człowieka: „A gdy Ja będę podwyższony nad ziemię, wszystkich do siebie pociągnę. A to powiedziały (jak dodaje Ewangelista), by zaznaczyć, jaką śmiercią umrze” (J 12, 32—33). Odzwierciedleniem tej prawdy są również słowa pieśni wielkopostnej, w której śpiewamy:

„Kiedy cierpienie, kiedy zwątpienie
Serce ci na wskroś przepali,
Gdy grom się zbliża, pośpiesz do krzyża,
On ciebie wesprze, ocali”.

W dzisiejszą niedzielę wchodzimy w okres Męki Pańskiej, kiedy to Kościół w specjalny sposób wskazuje swoim wyznawcom na krzyż Zbawiciela. Zaś liturgia kościelna podkreśla wyższość ofiary dokonanej na drzewie krzyża, od wszystkich ofiar starożytności. Przypomina nam to Apostoł w słowach: „Jeżeli bowiem krew kozłów i wołów oraz popiół jałowicy przez pokropienie uświęcają skalnych i przywracają im cielesną czystość, o ileż bardziej krew Chrystusa który... ofiarował siebie bez skazy Bogu, oczyści sumienie nasze od martwych uczynków, abyśmy mogli służyć Bogu żywemu” (Hbr 9, 13—14). Jednak oprócz łask nadprzyrodzonych otrzymujemy za pośrednictwem krzyża Chrystusowego również dary natury moralnej. Jest on bowiem nie tylko gwarancją naszego zbawienia, ale również wspaniałą szkołą miłości i cierpienia. Wreszcie — o czym będzie mowa w niniejszym opracowaniu — z krzyża czerpać możemy siłę i hart, do przewyciężenia życiowych doświadczeń i nieszczęść.

oOo

Dnia 19 maja 1929 r. wybuchł groźny pożar w kopalni ropy naftowej w Moreni (Rumunia), który — mimo prowadzonej akcji ratowniczej — trwał przez kilka lat. Z zagrożonego terenu pośpiesznie ewakuowano mieszkańców. Cały obszar otoczono kordonem żołnierzy, którzy nie pozwalali nikomu wchodzić na objęte pożarem tereny. Najbliższą okolicą raz po raz wstrząsnęły potężne wybuchy. Na pół kilometra od centrum pożaru powietrze było gorące, iak w rozpalonym piecu. W promieniu kilkunastu kilometrów wymarło wszelkie życie... ziemia popękała od gorąca. Technika ludzka pozostała bezsilna wobec żywiołu ognia, siejącego grozę, zniszczenie i śmierć. Skoro bowiem udało się ugasić jedno źródło pożaru, wnet w innym miejscu wybuchały nowe słupy płomieni. Straszliwe też były skutki tego pożaru. Dziesiątki osób straciło życie, w setki liczone poparzonych i rannych, zniszczeniu uległ wieloletni ludzki dorobek.

Nieporównanie straszniejsze następstwa spowodowała tragedia, jaka miała miejsce w zaraniu dziejów ludzkości. Jej bowiem skutki rozprzestrzeniły się na cały świat oraz dotknęły ludzi wszystkich wieków i pokoleń. Stwarzając pierwszych ludzi, przeznaczył ich Bóg do szczęścia tutaj i w wieczności. Przez łaskę nadprzyrodzoną, która Stwórca przyozdobił ich duszę, stali się oni dziećmi Bożymi i dziedzicami szczęścia wiecznego. Otrzymali też liczne dary naturalne: mieli bowiem potężny rozum i wolę bardziej skłoną do dobrego, nie podlegali cierpieniom, chorobom oraz nie mieli umierać. Ich władcy poddał Bóg również cały świat widzialny, mówiąc: „Napelniajcie ziemię i czynicie ją sobie poddaną; panujcie nad rybami morskimi i nad ptactwem niebieskim, i nad wszystkimi zwierzętami” (Rdz 1, 28). A więc otrzymali od Boga praktycznie wszystko.

Jednak przez nieposłuszeństwo utracił człowiek wszystkie — zarówno nadprzyrodzone, jak i naturalne — dary, oraz usłyszał z ust Stwórcy słowa strasznego wyroku: „Przeklęta niech będzie ziemia z powodu ciebie! W mozołe żywić się będziesz z niej po wszystkie dni życia swego! Ciernie i osty rodzić ci będzie... W pocie oblicza twego będziesz jadł chleb, aż wrócisz do ziemi, z której zostałeś wzięty; bo prochem jesteś i w proch się obrócisz” (Rdz 3, 17—19). I od tej pory wygnany z raju zaczął się muszać z siłabościami i ułomnościami upadłej natury, znosząc różne dolegliwości, choroby i cierpienia. Narażeni są ustawicznie na wiele doświadczeń i nieszczęść, zgotowanych im przez złość i przewrotność ludzką. Walczyć muszą na co dzień z siłami natury, która — niegdyś posłuszna i poddana — przestała im być powolną. Raz po raz bowiem słyszymy o klęskach żywiołowych i kataklizmach, pochłaniających tysiące ludzkich istnień oraz niszczą-

cych wieloletni dorobek ich pracy. A kiedy po latach doczesnej wędrówki przyjdzie im żegnać się z tym światem, mogą za patriarchą Jakubem powtórzyć słowa: „Krótki i zły był czas życia mego” (Rdz 47, 9).

W znanym cyklu „Legenda o Matce Bożej” — jaki między innymi pozostawił w spuściźnie artysta malarz Piotr Stachiewicz (1858—1938) — pełny głębokiej treści jest obraz zatytułowany „Na ciernistej drodze”. Bowiem w sposób niezwykle wymowny przedstawia on wędrówkę ludzkości przez świat. Widzimy na nim niebotyczne, nagie szczyty gór, otulone sinością mgieł. Nad głęboką przepaścią, przyczepiona do skalnej ściany, prowadzi wąska ścieżka najeżona cierniami i kamiennymi głazami. Na pierwszym planie — w białym, jaśniejącym płaszczu — postępuje skupiona i rozmodlona Matka Chrystusowa. Za nią zaś ciągnie długi korowód ludzkich postaci, które ślaniając się ze zmęczenia, zdążają do ostatecznego celu. Przypomina, że artysta w sposób niezwykle trafny przedstawił dzieje życia ludzkiego. Bo według nauki objawionej, „musimy przejść przez wiele ucisków, aby wejść do Królestwa Bożego” (Dz 14, 22).

Nie możemy mieć o to pretensji, gdyż Zbawiciel nigdy nie obiecywał swoim wyznawcom łatwego i wygodnego życia. Bowiem podczas kazania na górze błogosławieństw oświadczył wprost: *Wchodźcie przez ciasną bramę; albowiem szeroka jest brama i przestronna droga, która wiedzie na zatracenia, a wielu jest takich, którzy przez nią wchodzi. A ciasna jest brama i wąska droga, która prowadzi do żywota*” (Mt 7, 13—14). Co więcej! W sposób niezwykle kategoriyczny stwierdza: „Jeśli kto chce pójść za mną, niech zaprze samego siebie i weźmie krzyż swój, i niech idzie za mną” (Mt 16, 24). Bowiem tylko za cenę dźwignania na co dzień własnego krzyża można być uczniem Chrystusa. Innej możliwości nie ma. Ale też Jezus, który na kalwaryjskiej drodze sam upadał pod ciężarem krzyża, nie pozostawił nas bez pomocy. Zaprasza bowiem wszystkich, którym życie nie oszczędziło ciężkich doświadczeń i nieszczęść, mówiąc: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście spracowani i obciążeni, a Ja wam dam ukojenie” (Mt 11, 29). To ukojenie jest dziełem łaski wysłużonej przez Syna Bożego, przez jego mękę i śmierć na drzewie krzyża.

Nie zdziwimy się więc, że św. Paweł — który tak wiele wycierpiał dla sprawy Bożej — w krzyżu znajdował siłę do przewyciężenia wszystkich życiowych doświadczeń. Stwierdza to wyraźnie, mówiąc: „Uznałem za właściwe nic innego nie umieć między wami, jak tylko Jezusa Chrystusa i to ukrzyżowanego” (1 Kor 2, 2). Na innym zaś miejscu ten sam Apostoł z naciskiem stwierdził: „Z Chrystusem jestem ukrzyżowany” (Gal 2, 20). Tylko w ten sposób miał możliwość być najbliższe Zbawiciela, a tym samym w większym niż inni stopniu korzystać z łask i siły płynącej z krzyża Jezusa Chrystusa.

W krzyżu znajdujemy również pociechę, pokrzepienie i ratunek w naszych doczesnych doświadczeniach i nieszczęściach. Możemy także z krzyża spodziewać się pomocy w chwilach klęsk żywiołowych i kataklizmów, jakie przewalają się przez świat. Codzienne życie nie skąpi nam przykładów w tym względzie. Stąd też, gdy horyzont naszego życia zasnują ciemne chmury a grom nieszczęścia uderzy w naszą duszę, gdy czare naszego życia gorzyc wypełni aż po brzegi i gdy zawiodą przyjaciele, śpieszmy do stóp krzyża Chrystusowego w nadziei, że „on nas wesprze, ocali”. Świadczyć o tym może następujące wydarzenie: Pewien misjonarz — przechodząc przed kilkudziesięciu laty przez wieś w Indochinach — napotkał procesję buddystów. Wśród dźwięku instrumentów muzycznych niesiono w niej pod żółtym parasolem, wielki drewniany krzyż. Za nim zaś postępowali wszyscy mieszkańcy wioski. Zdumiony misjonarz zapytał, co to wszystko znaczy. A w odpowiedzi usłyszał: „Widzielśmy wielokrotnie, jak chrześcijanie — gdy spadło na nich jakieś nieszczęście — nieśli w procesji krzyż. Kiedy więc na nas spadły klęski czyniliśmy podobnie i zostaliśmy wysłuchani. Obecnie długotrwała posucha niszczy nasze zbiory i dobytek, grożąc nam samym śmiercią głodową. Postanowiliśmy więc szukać pomocy w tym właśnie znaku”.

oOo

We współczesnym świecie nie brak jest nieszczęść i cierpienia. Raz po raz na różne zakątki naszego globu spadają klęski żywiołowe, niosąc śmierć i zniszczenie. A nieobliczalni ludzie sposobią jeszcze środki masowej zagłady. Gdzież więc mamy szukać pomocy i ratunku? Ratunkiem może być jedynie krzyż Chrystusa, będący znakiem miłości, zbawienia i pojednania. Dlatego — stosownie do zachęty Apostoła Narodów — „przedstawiamy... z ufnością do tronu łaski, abyśmy dostąpili miłosierdzia i znaleźli łaskę ku pomocy w stosownej porze” (Hbr 4, 16). Spieszmy do krzyża! W nim tylko ratunek dla człowieka i ocalenie dla świata

KS. JAN KUCZEK



MARZEC

Marzec. Wracamy z parku. Wreszcie przeszła zima.
Spod stopniałego śniegu wyrzały murawy.
Drzewa nagie, lecz pierwsze kielkują już trawy,
Choć na stawie zielony, cienki lód się trzyma.

Z upojonymi wiosną wracamy oczyma.
Krokiem lekkim, jak podczas tanecznej zabawy.
Ulicą po słonecznej stronie idziem prawej,
Za sobą ciepło słońca czujemy plecyma.

W rozpiętych płaszczach śpieszą ochoczo przechodnie,
Jacyś świeżsi, wesoło patrzą i pogodnie;
Niańki z dziećmi wychodzą z ciemnych domów sieni.

A my, pierwszą przechadzką dumnie upojeni,
Idziem w miasto po płytach suchych już chodników,
Z grudkami pulchnej ziemi na piętach trzewików.



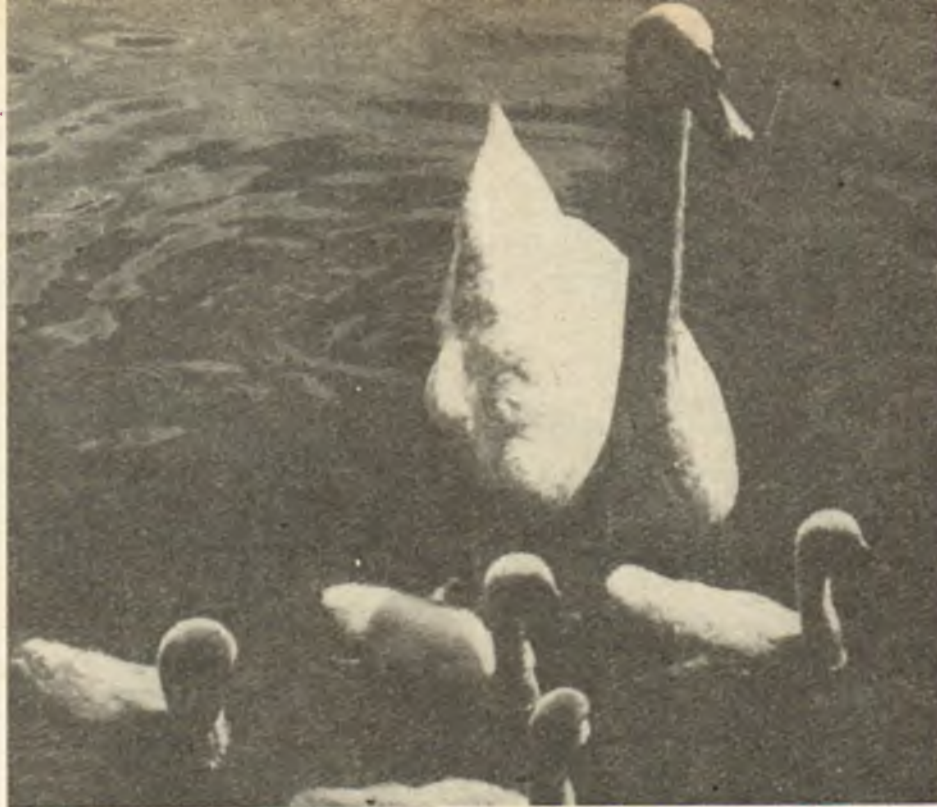
CZUCIE NIEWINNE

Łakami idę. W krąg kwiaty
I słuchać brzęki pszczelne.
W powietrzu modro-złotym
Śni próżnowanie niedzielne.

Słońce świeci spokojnie,
Jak gdyby od niechcenia;
Obłoki są tak białe,
Jakby nie mogły siać cienia.

Ptaka śpiewa, jakby nie słyszał
Nikommu ani się śniło.
Jest tak dobrze na duszy,
Jakby mnie wcale nie było.

Najpiękniej bowiem jest, kiedy
Piękna nie czuje się zgoła
I tylko jest się, po prostu
Tak, jak jest wszystko dokoła.



NARESZCIE PRZYSZŁA WIOSNA...

Wiosna w poezji Leopolda Staffa (1878–1957)



WŁAŚNIE

Pokłoniła się ruń zbóż wiatrowi
I wiatr poniósł dalej woń nowiny,
Że to już nie szrony i przymrozki,
Ale właśnie kwietnia imieniny.

Kwiecień właśnie wymawiał swe imię
Szumem świeżych gałązek brzoźowych,
A że ono się z sercem rymuje,
To nie przyszło mi nigdy do głowy.

Aż do głowy mi dziś uderzyło,
Niczym miłość i tęgi moszcz winny!
Taki właśnie jest cały sens wiosny.
Ale i całkiem inny...



DESZCZ MAJOWY

(fragmenty)

Maj na ziemi! Deszcz o wiosnie
Kogo zmoczy, ten urosnie.
Świeżą trawę skropi rosą,
Będziem po niej biegać boso,
Będziem wstrząsać młode drzewa,
Niech nas zlewa, niech nas zlewa.

Rosi deszczyk nam na głowy,
Srebrny, złoty, brylantowy.
Iskry perły i diamenty
Lecą z chmury uśmiechniętej.
To klejnoty, a nie deszcze...
Jeszcze, jeszcze... Jak szeleszcze,
Szepce, szemrze, szumi, śpiewa...
Trawy cieszą się i drzewa.

Słońce świeci. Deszcz o wiosnie
Kogo zmoczy, ten urosnie.
Siedmiobarwna w niebie tęcza:
Niebo z ziemią się zaręcza.
A na tęczy wodna panna
Sieje perły: kwiatom manna!
Promieniste czesze sploty...
Słońce łśni czy włos jej złoty?...





MODLITW...

NAMIBIA I ZIMBABWE (Rodezja)

Namibia (Afryka południowo-zachodnia), pierwotnie kolonia niemiecka, stała się po pierwszej wojnie światowej mandatem Ligi Narodów. Od tego czasu administrowała nią Republika Południowej Afryki według zasad polityki apartheidu, ONZ i różne ruchy wyzwolenicze starają się położyć kres kontroli tego kraju nad 900 tysiącami mieszkańców Namibii. Powstające z tego napięcia i nacisk wywierany przez biały reżim rasistowski są poważnym obciążeniem dla działalności Kościołów.

Londyńskie Towarzystwo Misyjne i Angielska Misja Metodystów rozpoczęły w 1814 r. swoją pracę na tym obszarze. Misjonarze z Misji Reńskiej przybyli w 1842 r. i stopniowo przejęli zadania swych poprzedników. Fińskie Towarzystwo Misyjne rozpoczęło pracę w północnym regionie kraju w 1870 r. Wojny i powstania zakłóciły rozwój Kościołów, największe przerwy w ich działalności spowodowane były dwoma wojnami światowymi. Mimo to około 87% ludności wyznaje wiarę chrześcijańską.

Połowę wszystkich chrześcijan Namibii stanowią luteranie. Trzy Kościoły luterskie kraju, biały Niemiecki Kościół Ewangelicko-Luterański w Afryce Południowo-Wschodniej i oba czarne Kościoły (Kościół Ewangelicko-Luterański i Ewangelicko-Luterański Kościół Omambo-Kawango), utworzyły w

1977 r. Zjednoczony Kościół Ewangelicko-Luterański w Afryce Południowo-Zachodniej; w obliczu napięć między grupami ludnościowymi kraju było to wydarzenie o nadzwyczajnym znaczeniu. Inne większe wyznania na tym obszarze to rzymskokatolicy, reformowani pochodzenia holenderskiego i anglikanie. W ostatnich latach opór wobec ucisku władz politycznych spowodował uwięzienie pastorów, wydalenie z kraju zagranicznego personelu misyjnego i przymusową emigrację trzech biskupów z anglikańskiej diecezji Damaraland.

Zimbabwe (Rodezja) jest krajem o długiej historii ziemnych podbojów. Plemiona Tsonga i Matabele broniły się początkowo skutecznie przed białym podbojem. Pod przewodnictwem Cecil Rhodesa osiedliło się jednak na tym obszarze wiele rodzin brytyjskich, przekształcając go ostatecznie w brytyjską kolonię Rodezji Południowej. Od 1940 r. rozwinęła się afrykańska opozycja przeciw władzy kolonialnej; jednostronne ogłoszenie niepodległości przez rząd białych (1965) spowodowało, że ukryty konflikt przerodził się ostatecznie w otwartą walkę.

Przez 14 lat ruchy wyzwolenicze walczyły o pełne uczestnictwo w rządach. Sprzeciwiały się tzw. „wewnętrzznemu rozwiązaniu”, do którego dążył biały rząd mniejszościowy. W wyniku walk zbrojnych, które objęły też kraje sąsiednie, zginęło wielu niewinnych ludzi, w tym też misjonarze. Jednakże porozumienie, osiągnięte między walczącymi stronami pod koniec 1979 r., stwarza nadzieję na przeprowadzenie demokratycznych wyborów i objęcie władzy przez przedstawicieli czarnej większości.

Z przeszło 6 milionów mieszkańców Zimbabwe milion stanowią chrześcijanie, pozostali trzymają się w większości tradycyjnych wierzeń afrykańskich. Wspólnie z brytyjskimi kupcami i osadnikami w drugiej połowie XIX stulecia przybyli też do kraju misjonarze. W Radzie Chrześcijańskiej Zimbabwe współpracują ze sobą następujące Kościoły: anglikański, metodystyczny, kongregacyjny, prezbiteriański i luterański.

LISTA KOŚCIOŁÓW

- Afrykański Kościół Reformowany w Zimbabwe
- Afrykański Metodystyczny Kościół Episkopalny Namibii i Zimbabwe
- Armia Zbawienia
- Holenderski Kościół Reformowany
- Kościół Ewangelicko-Luterański w Zimbabwe
- Kościół Ewangelicko-Metodystyczny w Zimbabwe
- Kościół Metodystyczny w Zimbabwe
- Kościół Prezbiteriański Afryki Południowej
- Kościół Rzymskokatolicki w Namibii i Zimbabwe

- Kościół w Prowincji Afryki Południowej (anglikański)
- Kościół w Prowincji Afryki Centralnej (anglikański)
- Wolny Kościół Metodystyczny w Zimbabwe
- Zjednoczenie Baptystów Afryki Centralnej
- Zjednoczony Kościół Chrystusa w Zimbabwe
- Zjednoczony Kościół Ewangelicko-Luterański w Afryce Południowo-Zachodniej
- Zjednoczony Kościół Kongregacyjny Afryki Południowej
- Związek Baptystów Zimbabwe

Do naszej modlitwy dołączamy też rady ekumeniczne i wspólnoty robocze na płaszczyźnie lokalnej i krajowej.

Wspominamy również wszystkie ruchy i społeczności chrześcijańskie, które zwiastują Jezusa Chrystusa i służą Mu.

PODZIĘKOWANIE I MODLITWA

Dziękujemy Bogu, który w swoim Synu darował nam Zbawiciela i Pojednawcę; za wszystkich, którzy odważnie i wytrwale wyznają Chrystusa stojącego po stronie uciskanych; za znaki nadziei i uzdrowienia, które objawiają się w Namibii i Zimbabwe. Prosimy Boga w intencji wszystkich ofiar konfliktów w Namibii i Rodezji; w intencji wszystkich, których serca przepelnione są goryczą, smutkiem i nieufnością; w intencji Kościołów, aby wiara pomogła im; złożyć świadectwo o pokoju; w intencji chrześcijan, aby dawali przykład jedności, przebaczenia i ofiarności.

MODLITWA PASTORA KAMEETY (na motywach Psalmu 23)

Pan jest pasterzem moim, mam wszystko, czego potrzebuję. Pokazuje mi krainę pokoju i sprawiedliwości i w tym kierunku mnie prowadzi. Daje mi moc. Zgodnie z obietnicą, Wiedzie mnie ścieżkami zwycięstwa. Choćby nawet doszło do strasznej konfrontacji zbrojnej, zła się nie ulęknę, boś Ty ze mną. Twoja władza pasterska i miłość chronią mnie. Przygotowujesz wolność, aby mogli ją ujrzeć wszyscy moi wrogowie. Witasz mnie jak milego gościa i napelniasz mój puchar sprawiedliwością i pokojem. Wiem, że Twoja dobroć i miłość towarzyszyć mi będą przez wszystkie dni życia mego, a Twoja wywalająca miłość będzie moim schronieniem dopóki żyć będę.

...Cale życie stałoby się modlitwą
WSZYSTKO

Ewangelia głoszona w swej całej czystości wywołuje entuzjazm, przeraża lub gorszy. Musi wywoływać gwałtowną reakcję, bo jest skrajnym przeciwstawieniem się grzesznikowi i „światu”. A ilekroć Ewangelia pociągnie człowieka, to jeżeli jest prawy, w grę wchodzi całe jego życie, bo wymagania Chrystusa nie znoszą polowiczności.

*

„Błogosławieni jesteście, gdy wam zlorzeczyc i prześladować was będą i gdy kłamliwie wszelkie zło zarzucać wam będą ze względu na mnie! Cieszcie się i radujcie, bo wielka jest zapłata wasza w niebiesiach” (Mt 5, 11-12).

„Nie sądzicie, że przyszedłem pokój i nieść ziemi; nie przyszedłem nieść pokój, lecz wojnę” (Mt 10, 34).

„Jeżeli świat was nienawidzi, to wiedzcie, że mnie zmenawidził pierwej niż was. Gdybyście byli ze świata, świat miłowałby to, co jest jego. A ponieważ nie jesteście z tego świata, lecz przeciwnie, ja was z tego świata wybrałem i usunąłem z niego, dlatego świat was nienawidzi. Przypomnijcie sobie słowa moje, które wam powiedziałem: Stuga nie jest czymś więcej niż pan jego. Jeżeli mnie prześladowali, to i was prześladować będą” (J 15, 18-20).

*

Słyszałem, jak ksiądz, który żył Ewangelia, mówił kazanie na temat Ewangelii.

Maluczcy, biedni — byli rozradowani, wielcy, bogaci — byli zgorzeleni.

I pomyślałem, że nie trzeba by długo głosić Ewangelii, by ci, którzy chodzą do Kościoła, odeszli, a zapelnili go ci, co odeń stronią.

Pomyślałem, że to zły znak dla chrześcijanina, jeżeli jest szanowany przez „porządnych ludzi”.

Trzeba, myśle, żeby wytykali nas palcami, traktowali jak wariatów i rewolucjonistów.

Trzeba, myśle, żeby nam dokuczali, podpisywali skargi na nas..., żeby starali się nas zniszczyć.

Dzisiejszego wieczoru, Panie, boję się.

Boję się, bo Twoja Ewangelia jest straszna.

Łatwo ją słyszeć czytana,

Jest jeszcze względnie łatwo nie gorszyć się nią,

Ale trudno jest nią żyć.

Boję się, Panie, żeby się nie omylić.

Boję się zadowolenia z mego małego, przyzwoitego życia.

Boję się moich dobrych przyzwyczajzeń, bo je biorę za cnoty.

Boję się moich małych wysiłków, bo mi się wydaje, że idę naprzód.

Boję się mojego działania, bo zaczynam wierzyć, że daję się innym.

Boję się moich mądrych metod organizacji, bo je biorę za pomysły wy-

niki.

Boję się mego wpływu, bo wyobrażam sobie, że przeobraża życie innych.

Boję się tego, co daję, bo zakrywa to, czego nie daję.

Boję się, Panie, bo bywają przecieź ludzie biedniejsi niż ja.

Bywają mniej wykształceni niż ja,

mniej rozwinięci,

gorzej mieszkający,

gorzej ogrzani,

gorzej oplacani,

gorzej żywieni,

mniej pieśczeni,

mniej kochani.

Boję się, Panie, bo nie dosyć robię dla nich,

Nie robię dla nich wszystkiego.

Powinienem dawać wszystko,

Powinienem dotąd dawać wszystko, aż nie będzie ani jednego cierpienia,

ani jednej nędzy, ani jednego grzechu w świecie.

Tak, Panie, powinienem dawać wszystko, wszystek swój czas,

Powinienem dawać moje życie.

Panie, a jednak to nie jest prawda,

To nie jest prawda dla wszystkich,

Przesadzam, trzeba być rozsądnym.

*

Moje dziecko, jest tylko jedno przykazanie dla wszystkich:

„Będziesz miłował ze wszystkiego serca swego,

ze wszystkiej duszy swojej,

ze wszystkich sił swoich”

M. QUOIST

Deklaracja Kongregacji Doktryny Wiary w sprawie niektórych punktów doktryny teologicznej profesora Hansa Künga

Kościół Chrystusowy otrzymał od Boga polecenie strzeżenia i chronienia depozytu wiary w tym celu, aby wszyscy wierni, pod kierunkiem świętego Urzędu Nauczycielskiego, który w Kościele pełniący jest w zastępstwie Urzędu Nauczycielskiego samego Chrystusa, bez uszczerbku trwali przy wierze raz objawionej wierzącym, wnikali w nią coraz głębiej posługując się właściwą oceną oraz coraz pełniej stosowali ją w życiu (1).

Natomiast Urząd Nauczycielski, dla wypełnienia tego poważnego zadania (2), powierzono jemu tylko wyłącznie, posługuje się działalnością teologów, zwłaszcza tych, którzy otrzymali w Kościele od władzy obowiązek nauczania, stając się w ten sposób w pewnym znaczeniu nauczycielami prawdy. Teolodzy w swych badaniach, podobnie jak naukowcy innych dziedzin nauki, korzystają z właściwej wolności naukowej, jednak w granicach metod świętej teologii, dążąc do tego, by w sposób im właściwy mogli osiągnąć ten sam cel, jaki posiada sam Urząd Nauczycielski, „a mianowicie strzec świętego depozytu Objawienia, wnikać weń głębiej, wyjaśniać go, uczyć i bronić: a więc rozjaśniać życie Kościoła i rodzaju ludzkiego światłem prawdy bożej” (3).

Wskazane jest więc, aby w badaniach i nauczaniu doktryny katolickiej zawsze ujawniała się wierność wobec Urzędu Nauczycielskiego Kościoła, gdyż nikomu nie wolno uprawiać teologii jak tylko w łączności z obowiązkiem uczenia prawdy, który należy do samego Kościoła (4). Gdy zabraknie tej wierności, wyrządza się również krzywdę wszystkim tym jako, którzy zobowiązani do wyznawania wiary otrzymanej od Boga za pośrednictwem Kościoła, posiadają również święte prawo do tego, by otrzymywać nieskażone słowo Boga i z tego powodu oczekują, że pieczołowicie chronieni będą przed zagrażającymi im błędami (5).

Z tego też powodu, jeśli zdarzy się, że jakiś nauczyciel nauk świętych oberze jako normę własny sąd, a nie zdanie Kościoła, i sąd ten będzie rozpowszechniał, a także, jeśli nie zważając na wszelkie przejawy miłości zastosowane wobec niego, trwać będzie przy swym sędziu, wówczas sama uczciwość wymaga tego, by Kościół ujawnił ten jego sposób postępowania i zdecydował, że taki nauczyciel nie może już nauczać na podstawie misji od Niego otrzymanej (6).

Ta misja kanoniczna jest bowiem wyrazem wzajemnego zaufania: mianowicie zaufania kompetentnej władzy Kościoła w stosunku do teologa, który wykonując własne zadania badawcze i nauczycielskie uważa się za teologa katolickiego, jak również zaufania tegoż teologa wobec Kościoła i całości kształtu jego nauki, z polecenia którego to Kościoła pełni on swe obowiązki.

* * *

Ponieważ niektóre książki profesora Hansa Künga, księdzka, rozpowszechnione wśród wielu narodów, jak również jego doktryna, stały się przyczyną zamieszania w umysłach wierzących, Biskupi Niemiec i też Kongregacja Doktryny Wiary, po wzajemnym uzgodnieniu, wielokrotnie udzielali mu rad i napomnień, aby skłonić go do tego, by swą działalność teologiczną prowadził w pełnej współpracy z autentycznym Urzędem Nauczycielskim Kościoła.

W tym duchu Święta Kongregacja Wiary, wypełniając swój obowiązek popierania i strzeżenia doktryny wiary i moralności w Kościele powszechnym (7), w dokumencie podanym do publicznej wiadomości z dnia 15 lutego 1975 r. stwierdziła, że niektóre opinie profesora Hansa Künga, w różnym stopniu przeciwstawiają się doktrynie Kościoła Katolickiego, obowiązującej wszystkich wierzących. Wśród opinii tych wymieniła jako znaczące te, które odnoszą się do dogmatu wiary o nieomyślności w Kościele, jak również do obowiązku autentycznego interpretowania jednego słowa Bożego, czyli świętego depozytu, zleconego wyłącznie żywemu Urzędowi Nauczycielskiemu Kościoła, a wreszcie do ważnego sprawowania Eucharystii.

Jednocześnie też Święta Kongregacja upomniwała tegoż profesora, aby nie głosił nadal tego rodzaju opinii oczekując tymczasem aż swe własne poglądy doprowadzi do zgody z doktryną autentycznego Urzędu Nauczycielskiego (8).

On jednak niczego nie zmienił dotychczas we wspomnianych wyżej poglądach.

W specjalny sposób okazuje się to oczywiście odnośnie jego opinii dotyczącej dogmatu o nieomyślności w Kościele, który co najmniej poddaje w wątpliwość albo sprowadza do swego rodzaju podstawowej niewzruszoności Kościoła w prawdzie, dopuszczającej jednak możliwość popełnienia błędów w orzeczeniach, które w sposób definitywny podaje Urząd Nauczycielski Kościoła, jako obowiązujące. W tym zakresie Hans Küng nie tylko nie dostosował się do doktryny Urzędu Nauczycielskiego, ale co więcej ostatnio ponownie opinię swą zaprezentował w sposób jeszcze bardziej wyraźny (konkretnie w swych pismach Kirche — gehalten in der Wahrheit? „Czy Kościół trwa w prawdzie?”), — Benziger Verlag 1979 oraz Zum Geleit, książki A.B. Haslera pod tytułem „Wie der Pabst unfehlbar wurde” — „Wstęp” do dzieła: „W jaki sposób doszło do ogłoszenia nieomyślności papieża” (Piper Verlag 1979), mimo że też Święta Kongregacja już wówczas orzekła, iż jest ona sprzeczna z doktryną zdefiniowaną przez I Sobór Watykański i potwierdzoną przez II Sobór Watykański.

Ponadto konsekwencje tego rodzaju opinii, a głównie lekceważenie Urzędu Nauczycielskiego Kościoła, widoczne są również w innych wydanych przez niego dziełach, w których narusza niektóre twierdzenia wiary katolickiej (np. odnośnie współistotności Chrystusa z Ojcem i dziewictwa Matki Bożej), nadając im inne znaczenie niż to, jakie nadał im i nadaje Kościół.

Święta Kongregacja Doktryny Wiary we wspomnianym wyżej dokumencie w 1975 r. powstrzymała się od dalszych działań w stosunku do przytoczonych uprzednio opinii profesora Künga zakładając, że on z nich zrezygnuje. Ponieważ założenie to okazało się złudne, też Święta Kongregacja z obowiązku zmuszona jest obecnie oświadczyć, że profesor Hans Küng w pismach swych odszedł od całej prawdy wiary katolickiej i z tego powodu nie może być on uważany za teologa katolickiego ani też jako taki nie może pełnić obowiązków nauczycielskich.

Oświadczenie to, rozważone na zwyczajnym zgromadzeniu tejże Świętej Kongregacji, Papież Jan Paweł II zatwierdził podczas audiencji udzielonej niżej podpisanemu Kardynałowi Prefektowi i polecił, aby zostało podane do publicznej wiadomości.

W Rzymie, w siedzibie Św. Kongregacji Doktryny Wiary, dnia 15 grudnia 1979 r.

*Kard. Franciszek Seper — Prefekt
br. Hieronim Hamer, OP abp tyt., Sekretarz*

Osservatore Romano, 19.12.79, str. 1—2,

* W tym samym numerze Oss. Rom. została opublikowana w podobnym duchu utrzymana „deklaracja przewodniczącego Niemieckiej Konferencji Episkopatu kard. J. Hoffnera w sprawie cofnięcia prof. Küngowi mandatu kościelnego na nauczanie”.

¹⁾ Por. Sob. Wat. I, Konstyt. dogm. Dei Filius, rozdz. IV „Wiara i rozum”. Denzinger, Enchiridion Symbolorum, wyd. 33 1965, str. 591, nr 3018 (1798); Sob. Wat. II, Konst. dogm. Dei verbum, n. 10

²⁾ Por. Sob. Wat. II, Konst. dogm. Lumen Gentium, n. 10.

³⁾ Paweł VI, Przemówienie do Kongresu Międzynarodowego na temat Teologii Sob. Wat. II, 1.10.1966, A. A. S. 58 (1966) 891.

⁴⁾ Jan Paweł II, Konst. apost. Sapientia Christiana, art. 70; encykl. Redemptor Hominis, n. 19. A. A. S. 71 (1979), 493; 308.

⁵⁾ Por. Sob. Wat. II, konst. dogm. Lumen Gentium, n. 11 i 25; Paweł VI, adhortacja apost. Quinque iam anni. A. A. S. 63 (1971), 99 n..

⁶⁾ Por. Sapientia Christiana, tyt. III, art. 27, por. 1 A. A. S. 71 (1979), 483.

⁷⁾ Por. Motu proprio Integrae servandae, n. 1,3 i 4. A. A. S. 57 (1965), 954.

⁸⁾ Por. A. A. S. 67 (1975), 203—204.

Uśmiechnij się

BATERIA

- Tatusiu, czy hyleś w wojsku?
- Oczywiście. Do końca dowodziłem baterią.
- A jaka? Na prad stały, czy zmienny?

SPRYCIARZ

- 7-letni chłopiec dzwoni do drzwi sąsiadki.
- Proszę pani — pyta — czy nie przeszkadzam, gdy godzinami ćwiczę game na fortepianie?
- Oczywiście, że przeszkadzasz.
- Bardzo panią proszę, żeby pani powiedziała to mojej mamie...

PRZYCZYNA

- Kilkuletni Pawełek siedzi na schodach i zalewa się łzami.
- Dlaczego płaczesz, Pawełku? — pyta sąsiad.
- Bo wujek spadł z drabiny, stłukł lustro i zrzucił z szafki radio.
- A pokłóczył się?
- Nie.
- No to czemu płaczesz?
- Bo moja siostra to widziała, a ja nie.

Z FARCIA

- Maly Piotruś mówi do ojca.
- Chcę się żenić, tatusiu.
- Co ty mówisz?
- A z kim?
- Z babcią.
- Z babcią nie możesz, to przecież moja mamusia.
- A ty mogłeś się ożenić z moją mamusią?



POZIOMO: 1) naturalność, brak sztuczności, 5) mowa środowiskowa, 10) amerykański kaktus o okazałych kwiatach, 11) chusteczka na głowę, 12) część państwa, kraj, 13) wyłom, wyrwa, 15) artysta areny, 16) silny ruch wody, 19) epopeja, 21) występujący w jakiejś dziedzinie po raz pierwszy, 25) pierwszogrudniowy solenizant, 26) satyryczne widowisko kukielkowe, 28) fiasko w wypieku ciasta, 29) odrebna postać, wariant, 30) zagłębienie w ścianie, 31) pracuje wśród książek.

PIONOWO: 1) kłamiwa pogłoska, 2) szkła optyczne wyrównujące wady wzroku, 3) celowy, racjonalny sposób wykonywania jakichś prac, 4) tłuszcz z wieloryba, 6) prawo rządzenia, rozporządzania, 7) zapas, zasób, 8) farsz, 9) zasłona, 14) „cykający” owad, 17) broń maszynowa do strzelania na bliską odległość, 18) pętla do oparcia nogi jeźdźcy, 20) patron, kurator, 22) reperacja, 23) albinos, 24) twórca obrazów, 27) pięściarstwo.

Rozwiązania należy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka nr 6”. Do rozlosowania:

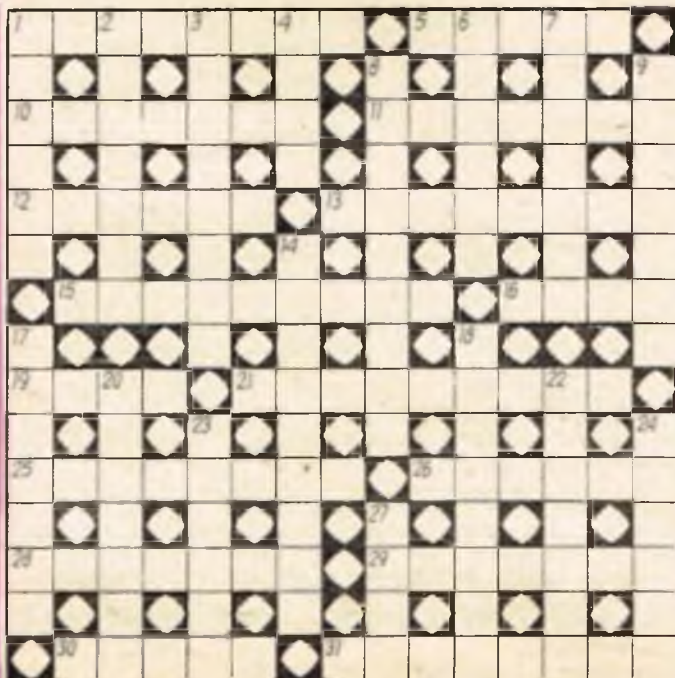
nagrody książkowe

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 2

POZIOMO: dyrektor, sroka, uczynek, komórka, bratek, zebranie, waleriana, Mali, uzda, grochówka, zbieracz, oferta, zadanie, oknówka, układ, przesłanka. **PIONOWO:** drużba, rozwaga, kontener, orka, rymarz, koronka, okiennica, bateria, pierścień, puszcza, półfinał, dziadek, karawan, Urania, nagana, koło.

Nagrody wylosowali: Maria Kowal z Krakowa i Teresa Kępka z Wrocławia.

Nagrody prześlemy pocztą.



„Rodzina” — dzieciom • „Rodzina” — dzieciom

Baśnie różnych narodów

SPRAWIEDLIWE KOTY

(baśń grecka)



awno, dawno temu żyła sobie uboga staruszka. Nie mogła już pracować z powodu podeszłego wieku i słabego zdrowia, chodziła więc po prośbie. Litościwi ludzie dali jej czasem kromkę chleba, inni zaś, o twardych sercach, odprowadzili ją z niczym. Pewnego dnia nie udało jej się zdobyć jedzenia.

Wieczorem starowina położyła się spać bez kolacji i oka nie mogła zmrzyć z głodu. Wstała więc, wzięła laseczkę i wyszła z chaty.

Na ulicach było pusto, nieprzyjemnie. Wszystkie okna ciemne, wszystkie drzwi zamknięte. Babulka kuśtykała przed siebie, tu i ówdzie nieśmiało pukając do domostw. Ale nigdzie jej nie otworzono. „Przyjdzie mi lec na ziemi i zemrzeć z głodu” — pomyślała.

I w tej chwili spostrzegła światelko w oknie daleko, daleko, na samym końcu długiej ulicy.

— Oho! — powiedziała do siebie. — Ktoś pewnie wyprawia ucztę weselną! Goście się bawią, a gdy ludziom wesoło — miękną im serca. Z pewnością znajdzie się tam kawałek chleba dla biednej staruszki.

Pokuśtykała więc żwawiej i dotarła do domu z oświetlonym oknem. Dom miał wielkie drzwi zamknięte na dziesięć spustów. Staruszka zapukała laseczką i nadstawiła ucha. Zapukała powtórnie i znowu nasłuchiwała. Przez długi czas nie słyszała nic, oprócz swojego pukania, i nie wiedziała nic, oprócz wielkich, zamkniętych drzwi przed sobą. Wreszcie zupełnie nagle drzwi się otworzyły. Na progu stał olbrzymi, czarny kocur.

— Miau? Miau? — zapytał.

— O mój szlachetny i dobry panie! — powiedziała staruszka.

— Użycz mi jedzenia, bo inaczej umrę z głodu.

Drzwi były otwarte, a kot ustąpił na bok, jakby zapraszając kobietę do środka. Weszła więc do sieni. Czekał tam drugi czarny kocur. Przybiegł do pierwszego kota i powiedział:

— Miau, miau!

— O mój szlachetny, drogi panie! — rzecze staruszka do drugiego czarnego kota. — Użycz mi, proszę jedzenia, bo inaczej umrę z głodu.

W głębi sieni były schody, a na schodach stał trzeci czarny kot, który patrząc z góry na staruszkę powiedział:

— Miau-au-au-au!

Odwrócił się i powędrował na górę. A kobieta poszła za nim po schodach. Na górze znajdowały się drzwi z drewnianym skoblem. Czarny kot podskoczył, wysunął skobel, otworzył drzwi i wszedł przez nie, a stara kobieta za kotem. Znaleźli się w wielkiej izbie, gdzie na dwóch złotych kanapach leżały dwie ładne małe kotki, jedna biała, a druga pręgowata. Obie paliły fajeczki wykładane drogimi kamieniami.

— O moje dobre, śliczne, miłe panie! Dajcie mi coś, proszę, Umieram z głodu!

— Miau-au? miau-au? — zapytała biała kotka pręgowatej kotki.

— Miau-au-au! — odparła jej pręgowata kotka.

A wtedy czarny kot, ten, który przyprowadził starowinkę na górę, wybiegł pędem z pokoju i po chwili wrocil, popychając przed sobą stolicek na kołkach. A na stoliceczku były kanapki z rybą, paszteciki z mięsem i duża czarka mleka. Staruszka zabrała się zaraz do jedzenia. Gdy najadła się i napiła do syta, wstała od stołu i powiedziała:

— Niech wszelkie błogosławieństwa posypią się na was z nieba, moje śliczne panie i piękni panowie! I niech wam będzie dany dar mowy.

No i jakież było jej zdziwienie, kiedy trzeci czarny kocur od razu odezwał się ludzkim głosem:

— Idź do swojej chaty, babulko, i przynieś worek.

— Nie mam worka w chacie — odparła kobieta. — Nie mam nic oprócz połamanego łóżka, pękniętego kubka i jednego cynowego talerza.

— Pójdź więc do sąsiadów i pożycz worek — odpowiedział wielki, czarny kot cichym, łagodnym głosem.

Staruszka podziękowała, zeszła ze schodów, minęła sieni i duże drzwi i podreptała do swego zaułka. Tam zapukała do domu sąsiadów. Sąsiadka była skąpa i chciwa. Miała cały stos pieniędzy schowany w starej pończosze i nie brakło jej nigdy stawy i napitku ani ciepłej odzieży. Ale też nigdy nie dała jedzenia ubogiej staruszce.

• „Rodzina” dzieciom

Gdy skąpica usłyszała pukanie, otworzyła okno, wysunęła głowę i zawołała:

— Wymos się stąd! Czego ode mnie chcesz? Jak śmiesz budzić mnie stukaniem w głębi nocy?

— Kochana sąsiadko — powiedziała starowina — czy nie pożyczylabyś mi łaskawie worka?

— Worka? A to na co?

Staruszka nie miała pojęcia, na co worek był potrzebny. Wiedziała jedynie, że polecono jej go przynieść.

— Chyba na mąkę. Dobrzy ludzie chcą mi coś ofiarować. Pewnie trochę mąki, abym mogła sobie upiec bocheneczek chleba.

— Znowu chodzisz po proszonym! warknęła sąsiadka. — Wstydu nie masz! Ale dam ci ten worek dla świętego spokoju. Zabieraj go i wymos mi się stąd natychmiast.

Cisnęła worek przez okno i zatrzasnęła je z powrotem. Staruszka wzięła worek i poczłapała w stronę domu kotów tak szybko, jak tylko jej na to pozwalały chore nogi. Drzwi domu kotów zastała otwarte i mogła swobodnie wejść do środka. Podała worek pierwszemu czarnemu kotu, a ten podał go drugiemu czarnemu kotu, który pomknął z workiem do piwnicy i za chwilę wyniósł go z powrotem — worek był teraz pękaty, widać napchano go czymś do pełna.

— Nie zaglądać do worka, dopóki nie wrócisz do domu — pouczył kot staruszkę cichym głosikiem.

Worek był bardzo ciężki. Staruszka mogła go tylko wlec po ziemi. Z trudem dociągnęła ciężar do domu, postawiła w swojej pustej izdebce i wtedy poczęła mu się przyglądać.

— Co też tam może być? — dumiała. — Czyżby żywność tyle ważyła? A może worek nie jest wcale taki ciężki? Może tak mi się zdawało, bo jestem stara i słaba i ciężar był ponad moje siły? Ale cokolwiek dałyście mi moje dobre, miłe kotki, dzięki wam za to z całego serca!

Wreszcie z trudem odwiązała sznurek przy worku. No i patrzcie! Pełno tam było złotych monet! Staruszka siadła na połamanym łóżku i siedziała tak długo w swojej pustej izdebce, patrzyła na worek i na przemian śmiała się i płakała ze szczęścia.

— Już nigdy więcej nie będę głodna! — mówiła do siebie.

— Kupię sobie nowe łóżko i ciepły płaszcz, i porcelanową filiżankę, i porcelanowy talerzyk, i kuchenkę. O kotki! To dzięki wam jestem taka szczęśliwa.

Śmiała się i płakała przez dłuższy czas, aż wreszcie wysypała wszystkie złote pieniądze na łóżko i przykryła je podartym płaszczem. Świtało już, więc poszła do drzwi sąsiadki i zapukała. Skąpica uchyliła drzwi i wyjrzała nie otwierając łańcucha.

— Co? Znowu mnie niepokoisz?

— Chciałam tylko z podziękowaniem oddać worek — powiedziała pokornie staruszka.

Skąpa i chciwa sąsiadka chwyciła worek i zatrzasnęła drzwi. Rozpostarła na stole papier i potrząsnęła workiem. Może zostało w środku trochę mąki, a jeśli zostało, to ona tego nie zmarnuje, o nie! Ale nie znalazła nawet garsteczki mąki. W złości chciwa baba obróciła worek na lewą stronę. No i patrzcie, na dnie worka, w szwie, utknęła złota moneta! Sąsiadka w jednej chwili znalazła się przy drzwiach ubogiej kobiety, z workiem w jednej ręce, a pieniążkiem w drugiej.

— Ładna mąka! — wrzeszczała. — To ma być mąka, ty złodziejko? Jeśli w worku została jedna sztuka złota, mogę przysiąc, że wzięłaś dla siebie sto razy tyle! Gdzie są te pieniądze? Gadaj zaraz! Skąd je wzięłaś? Jeśli mi nie powiesz, pójdę prosto do sądu i oskarżę cię o złodziejstwo!

Staruszka w płacz! Trzęsła się cała ze strachu, nie wiedząc czy koty życzą sobie, aby ktokolwiek wiedział o ich darze. A jednak co miała zrobić? I tak będzie musiała powiedzieć prawdę, gdy ją oskarży przed sędzią. Zaprowadziła więc sąsiadkę na koniec długiej ulicy i pokazała dom kotów.

— W tym właśnie domu dostałam złoto — powiedziała.

Wielkie drzwi wejściowe do kocięj siedziby były szczelnie zamknięte. Skąpa i chciwa sąsiadka zaczęła walić w nie z całej siły. Wreszcie drzwi otworzono — na progu stał duży czarny kot.

— Miau? Miau-au-au? — zapytał.

— Wielkie nieba! — wrzasnęła sąsiadka. — Chętnie podpaliłabym twój ogon, ty kocurze! Jakże, kot otwiera mi drzwi jakby był człowiekiem? A tom się najadła strachu! A psik! Precz stąd! Kopnęła kota i weszła do sieni.

A tam biegł już ku niej drugi ogromny, czarny kocur, miaucząc głośno: „Miau! Miau!”. Niedobra sąsiadka i jemu wymierzyła kopniaka.

— Miau! Miau! — przedrzeźniała kota. — Wnocha stąd! Obejrzyj się za myszami! Koty powinny łapać myszy — od tego są.

I ruszyła schodami na górę. Na górze stał trzeci czarny kocur.

— Miau-au! Miau-au! — zawołał.

— A to dopiero kocia muzyka! — powiedziała — Ludzie w tym domu chyba mają bzika, żeby trzymać tyle kotów. Nie zbliżaj się do



mnie, ty wstrętny czarny diable, bo ci pokażę! Pociągnęła kota za ucho, odepchnęła go i wkroczyła do wielkiej sali, gdzie siedziały dwie kotki — jedna biała, a druga pręgowata. Siedziały na złotych kanapach i paliły fajeczki wykładane drogimi kamieniami. Na ich widok chciwa baba o mało nie pękła ze śmiechu.

— Nie, tego już za wiele! — skrzeczała. — Koty palą fajki, żebym tak zdrowa była! Gdzie wasz pan, kocury? Zaraz mnie do niego zaprowadźcie! Przyszedłam w ważnej sprawie. Wtedy trzeci czarny kot bezszelstnie wszedł do sali i powiedział cichym głosikiem:

— Czego sobie życzysz?

Babę obleciał strach, gdy usłyszała ludzką mowę. Ale wcale nie nabrała grzeczności — przeciwnie: tym głośniej wrzeszczała i lajała koty. — Czego sobie życzyć? Też pytanie! Życzę sobie, żeby mi tutaj napełniono worek złotymi monetami, tak jak tej, mojej sąsiadce. Zróbcie to, a żywo! Bo jak nie, to pójdę do sądu oskarżyć staruchę o kradzież, a was o czarodziejские sztuczki!

Przez cały ten czas obie kotki siedziały spokojnie na złotych kanapach i paliły swoje fajeczki wykładane drogimi kamieniami. Teraz dopiero odłożyły fajeczki.

— Miau-miau! Miau-miau! — wydały polecenie dużemu czarnemu kocurowi.

— Daj mi swój worek — powiedział czarny kocur do skąpego babska.

Wziął od niej worek i pobiegł do piwnicy. Gdy wrócił, baba już czekała w sieni, niecierpliwie tupiąc nogą.

— Tutaj są nasze dary — powiedział grzecznie, podając jej pękaty worek. — Ale niech ich nie zobaczą ani gwiazdy, ani tym bardziej królewskie słońce. Wracaj, kobieto, do domu, zamknij drzwi na klucz, zaciągnij zasłony i wtedy dopiero zajrzyj do środka. Skąpa i chciwa kobieta nawet nie podziękowała. Wybiegła z kocięgo domu sypiąc drwinami. U siebie od razu zdjęła z pleców worek, zamknęła drzwi na klucz i zasłoniła okna. Wtedy dopiero rozwiązała worek.

— O rety! O rety!

Z worka wyleciały roje os i chmary komarów, wybiegły tysiące mrówek i wypełzyły węże. Osy i komary wirowały nad głową baby, węże owijały się naokoło jej ramion, a mrówki wlażyły na nogi. Baba wrzeszczała, padała na podłogę i wstawała. Po omacku trafiła do drzwi, otworzyła je i z wraskiem wybiegła na dwór. A za nią roje os i komarów, mrówki i węże. Opędzała się od nich jak wściekła i uciekała przed siebie, coraz dalej i dalej, i nikt jej już nigdy więcej nie zobaczył.

A skarb złotych monet dobrej staruszki nigdy nie stopniał: gdy wydała jeden pieniążek, natychmiast zjawiał się inny. Zawsze miała pod dostatkiem pieniędzy na swoje potrzeby, a także, aby pomóc innym. I żyła odtąd szczęśliwie i wygodnie.

Czego życzyć i wam, drogie dzieci!

POGADANKI O HISTORII KOŚCIOŁA

W DOBIE ROZBICIA DZIELNICOWEGO

Wielu historyków uważa, że Bolesław Krzywousty popełnił błąd, dzieląc kraj na pięć części między czterech synów. Tymczasem testament ten zwany „Statutem Krzywoustego” był pomyślany wprost genialnie. Uwzględnił bowiem średniowieczne tendencje do tworzenia niewielkich księstw, co ułatwiało w tamtych czasach sprawowanie władzy, a zarazem zapewniało jedność państwa polskiego przez ustanowienie dzielnic senioralnej, której ani dziedziczyć, ani dzielić nie było wolno. Dzielnicą senioralną, miał włączyć zawsze najstarszy piastowicz jako senior wszystkich książąt, mającej również swój dział dziedziczny. Dzielnicą senioralną ciągnęła się pasem od Bałtyku po Karpaty, stanowiąc jakby naturalną klamrę spinającą całość ziem polskich. Strażnikiem swego testamentu uczynił Krzywousty papieża i Kościół. Mieli więc biskupi polscy wdzięczne pole do działania. Jako podlegli jednemu metropolicie mogli dawać przykład swoim książętom jak należy słuchać księcia seniora dla dobra ojczyzny. Niestety większość hierarchów nie potrafiła sprostać tak szczytnemu zadaniu. Wielu zapragnęło pokosztować władzy i zyskać możliwie jak najwięcej dla siebie. Zamiast godzić zwaśnionych synów Krzywoustego i nakłaniać do postępu seniorowi, dolewali przysłowiowej oliwy do ognia, stając często po stronie buntowników. Tak postąpił arcybiskup Jakub ze Żnina, największy w kraju pan feudalny.

Gdy senior Władysław zwyciężył buntowników, metropolita obłożył go klątwą i spowodował jego klęskę oraz wygnanie. Za wygnaniem ujął się papież, wyklínając łamiących testament ojca zbuntowanych braci, ale władcy arcybiskup uwolnił ich od tej klątwy. Gdy kolejny senior — Mieszko zwany Starym — zajął Kraków i chciał zaprowadzić jaki tak porządek w kraju, panowie na czele z biskupem krakowskim Gedką podnieśli bunt i obalili Mieszka, a na jego miejsce powołali zupełnie powolnego woli panów i biskupów Kazimierza, któremu nadali później przydomek „Sprawiedliwego”.

Na księciu Kazimierzu wymogli biskupi dla siebie cały szereg przywilejów, przez co zrownali się z możnowładcami. Na synodzie w Łęczycy przywilej nienaruszalności majątku kościelnego stał się prawem. Gdy zmarł Kazimierz, w imieniu jego nieletniego syna Leszka Białego, rządził biskup Pełka.

Miał kłopoty ze swoim biskupem Henryk Brodaty mąż św. Jadwigi i ojciec Henryka Pobożnego, miał je także pobożny książę Bolesław Wstydlivy oraz jego następca Leszek Czarny, a największe kłopoty miał mężny choć małego wzrostu książę Władysław Łokietek, który po półtorawiecznym chaosie podjął trud zjednoczenia udźreżonego kraju. Łokietek musiał walczyć nie tylko z wrogami zewnętrznymi, Czechami i Krzyżakami, lecz także z niegodnym, ale silnym biskupem Krakowa Janem Muskatą, który wcześniej trudnił się zbieraniem świętopietrza, czyli daniny na rzecz Rzymu. W czasie rozbiccia dzielnicowego byli też w Polsce biskupi i metropolici z prawdziwego zdarzenia. Rzecznikiem i szerzycielem reformy Kościoła według wzorów gregoriańskich był arcybiskup Henryk Kietlicz. Chciał on, by biskupami zostawali ludzie godni, wybierani a nie mianowani przez księcia dzielnicowego. Wówczas to zaczęły powstawać przy siedzibach biskupich kapituły, czyli kolegia osób duchownych, których zadaniem był właśnie wybór nowego biskupa. Do kompetencji księcia należało zatwierdzenie kandydata i nadanie mu dóbr ziemskich.

Pierwszym biskupem w Polsce, wybranym w ten właśnie sposób, był słynny autor drugiej polskiej kroniki Wincenty Kadłubek, który rządził diecezją krakowską od 1207 r. Inną jaśniejszą postacią wśród hierarchów jest arcybiskup Jakub Świnka. Ten metropolita pragnął szczerze zjednoczenia kraju choćby za cenę połączenia go z Czechami. Choć początkowo nie doceniał walorów księcia Łokietka, później przychylił się na jego stronę.

Ocena postępowania ludzi tamtych czasów jest niezmiernie trudna. Nas, ludzi dwudziestego wieku, mogą gorzej i dziwić pewne przeciwności, występujące u tych samych osób. Człowiek średniowiecza umiał być równocześnie pobożny i okrutny, łatwouierny i podstępny, skąpy i hojny. Gdy więc przychodzi nam ochota osądzać postępowanie dygnitarzy kościelnych i świeckich z tamtego okresu, musimy do nich przykładać dawną, feudalną miarę a nie nasze ideały.

Pewne wyzwolenie Kościoła spod wpływów wielmożów i panów polskich było konieczne, konieczna też była większa dyscyplina i określenie obowiązków dla osób duchownych. Te dobra niosła ze sobą realizacja reform gregoriańskich. Niosła jednak także poważne wypaczenia. Wydzielała duchowieństwo jako odrębny, oddzielony od reszty obywateli stan, żądała od duchownych porzucenia życia rodzinnego, zaostrzała nieufność, a nawet rodziła nienawiść do innowierców.

KSIĄDZ LUKASZ



Z lekcji historii i patriotyzmu

35 rocznica powrotu Pomorza do Macierzy

Po rozpoczęciu tzw. ofensywy styczniowej przez wojska radziecko-polskie, w rękach Niemców znajdowało się tylko Pomorze oraz Poznań, który zdobyto 23 lutego. Walki o Pomorze*), w których uczestniczyła I Armia Wojska Polskiego, były niezwykle zacięte i krwawe. Niemcy zorganizowali bowiem obronę na silnie umocnionym Wale Pomorskim, a kluczowe miasto wybrzeża — Kołobrzeg — zamienili w warowną twierdzę. Kołobrzeg spełniał przede wszystkim funkcję bazy zaopatrzeniowej dla floty hitlerowskiej. Utrzymując to miasto, hitlerowcy przede wszystkim wiązały znaczne siły nieprzyjaciela oraz ograniczali działanie floty radzieckiej w basenie morza Bałtyckiego. W przypadku wyczerpania możliwości utrzymania miasta, Niemcy mogli w bardzo krótkim czasie ewakuować się drogą morską na niedaleki, zachodni brzeg Odry.

* * *

Po przełamaniu Wału Pomorskiego, 4 marca, już w godzinach rannych czołgi radzieckie rozpoczęły walkę o Kołobrzeg, pragnąc zdobyć go w marszu. Pierwsze natarcie ugrzęzło już na pierwszej linii obro-

ny. I tutaj należy podkreślić, że baza kołobrzaska miała dogodne warunki terenowe do obrony. Od północy Kołobrzeg oblewa morze, od południa osłania go podmokła dolina rzeki Parsęty, a od wschodu i zachodu znajdują się tereny bagniste, trudno dostępne dla czołgów i ciężkiego uzbrojenia, łatwe zaś do obstrzału. Opierając się na tych naturalnych przeszkodach, wybudowano wokół miasta trzy pozycje obronne. Pierwsza, zewnętrzna, o długości 7—8 km, znajdowała się na skrajach przedmieść, druga, tzw. główna, otaczała samo miasto. Trzecia, tzw. bezpośrednia pozycja obronna, przebiegała wokół portu i miała służyć do osłony ewakuacji wojsk.

Dopiero 7 marca dotarła na przedpola miasta 6 dywizja piechoty I Armii Wojska Polskiego. Zluzowała ona przebywających już pod miastem czołgistów radzieckich, którzy ze względu na brak piechoty ograniczyli się do rozpoznania stanowisk hitlerowców oraz blokowania Kołobrzegu od strony ładu.

Od dnia 9 do 11 marca żołnierze polscy i radzieccy wzmocnieni o dalsze oddziały (artylerii haubic, moździerzy oraz bataliony saperów) prowadzili zacięte walki o przełamanie pierwszych linii obronnych. Już 12 marca, po przełamaniu obrony na rzece Parsęcie, walki toczyły się na ulicach miasta. Od tej chwili walka o Kołobrzeg weszła w nową fazę. Garnizon hitlerowski był od ładu całkowicie otoczony. W celu przyspieszenia upadku garnizonu, gen. Popławski skierował do walk o Kołobrzeg dodatkowe siły.

Walki uliczne były nadzwyczaj ciężkie. Grupy szturmowe walczyły o każdy dom, o każdą klatkę schodową i piętrowo. Polacy nieraz zbliżali się do wroga tak blisko, że milkiły karabiny i pistolety, a do głosu dochodziły kolby, bagnety i pięści.

Nadszedł wreszcie siódmy dzień szturm. Pododdziały polskie oparowały najważniejsze punkty oporu wroga, m.in. zespół koszar i gazownię, które stanowiły trzon linii obronnej. Przed następnym szturmem dowództwo polskie, pragnąc uniknąć dalszych ofiar i zniszczeń, wezwało dowództwo niemieckie do kapitulacji. Niestety, ultimatum to nie zostało przyjęte.

W dniu 16 marca rozpoczął się ostatni etap bitwy o Kołobrzeg. Po przełamaniu drugiej linii obronnej (17 marca) żołnierze dotarli do trzeciej pozycji obronnej wroga. Przed decydującym szturmem podciągnięto do przodu niemal wszystkie działa, uzupełniono grupy szturmowe, broń i amunicję. Oddziałom niemieckim pozostało do obrony niewielki obszar portu i mały skrawek plaży o długości 3400 m. W nocy z 17 na 18 marca nastąpiły ostatnie godziny natarcia. Nieprzyjaciel jeszcze się uporczywie bronił, a właściwie osłaniał wycofujące się oddziały. Nad ranem 18 marca załapał nad Kołobrzegiem zwycięski biało-czerwony sztandar. Załapał nad Kołobrzegiem — prastarym grodem piastowskim i Morzem Bałtyckim, które powróciły do Macierzy. Symbolem tego powrotu były uroczyste zaślubiny z morzem, które odbyły się zaraz po dotarciu pierwszych jednostek polskich nad brzeg Bałtyku.

M.D.

*) Fragmenty walk o Pomorze Zachodnie pokazują m.in. filmy „Jarzębina czerwona” oraz ostatnio film „Elegia”.

Dla mieszkańców Peru z okresu cywilizacji przedkolumbijskich (z których najstarszą jest kultura Chavin sięgająca swym początkiem VIII wieku p.n.e.), złoto i srebro miały znaczenie religijne. Bóstwa kultury Mochica i Chimu zdobią półksiężycowate diademy, reliefy z motywami zwierzęcymi pokazują lisa i pajaka, między którymi księżyc stanowi liturgiczne i symboliczne powiązanie. Dla Inków złoto było symbolem słońca. Dlatego też można powołać się na słowa wielkiego peruwiańskiego historyka Raul Porras Barrenechea: „Złoto było atrybutem Inków, zewnętrzną oznaką ich królewskiej godności i niebiańskiego pochodzenia, ponieważ złoto i słońce stanowiły w mitach jedność. Stąd złoto jest religijnym symbolem, oznaką władzy i godłem szlachty”.

Legendy o złocie Ofiru, Kolchidy i Wysp Szczęśliwych zbladły wobec rzeczywistości, którą Hiszpanie zastali w Peru. Okup za Athualpę, lupy z Cuzco i ze świątyni Coricanchy, w postaci artystycznych złotych przedmiotów, często zdobionych szlachetnymi kamieniami, przekraczały granice ludzkiej wyobraźni. Niech mówi sam za siebie fragment inwentarza wspaniałych świątyni Coricanchy: „Tarcza z litego złota wielkości koła wozu, posągi bogów ze złota z postaciami ludzkimi naturalnej wielkości, lamy ze złota i srebra również wielkości naturalnej, ogród Słońca ze złotymi drzewami, owocami, kwiatami, ptakami i różnymi zwierzętami, kultowe naczynia i misy oraz liczne płyty z tego samego metalu zdobiły ściany świątyni”.

W licznych cmentarzyskach położonych wzdłuż peruwiańskiego wybrzeża zachowały się przez stulecia wielkie bogactwa, które archeologowie odkryli w IX i XX wieku. Można z całą pewnością przyjąć, że dotychczasowe znaleziska stanowią jedynie niewielką część tego, co kryje jeszcze suchy wydłużony pas wybrzeża, przecięty 45 żyznymi dolinami. Od kilkudziesięciu lat państwo stara się zachować artystyczne i historyczne bogactwo kraju, który jest również pądlowany, jak starożytne orientalne centra kulturowe. Jednak coraz trudniej będzie opowiadać grabież grobów. Rabusie bowiem nie mają żadnego pojęcia o doniosłym znacze-



ZŁOTO PERU

Złoty nóż rytualny wysadzany turkusami

niu przedkolumbijskich obiektów dla kultury Peru i interesują się wyłącznie szlachetnym metalem. Zachęcają ich do działania pozbawieni skrupułów kombinatorzy, jak i wykształceni i niewykształceni turyści, choć ci ostatnio często padają ofiarą fałszerstw. W ratowaniu bezcennego dziedzictwa kulturalnego poważną rolę odgrywają krajowi kolekcjonerzy uznawani i popierani przez rząd peruwiański. Dzięki nim może być uratowana część dóbr historycznych, które w innych okolicznościach wpadłyby w ręce spekulantów.

Złotnicy z okresu kultury Chavin wykazali przy obróbce metali, zwłaszcza złota i srebra, mimo początkowej prymitywności narzędzi, doskonałą technikę. Za pomocą prostych narzędzi wykonywali trybowanie, walcowanie i lutowanie, przy czym w jednym przedmiocie łączono złoto ze srebrem lub platyną, jak i złoto o różnym zabarwieniu. Do trybowania rozgrzanych lub zimnych metali używano form lub matryc z kamienia, a do odlewania — dwuczęściowych form z kamienia lub gliny. Złoto topiono w tyglach kamiennych lub glinianych. Do podtrzymania ognia używano małych pieców wyposażonych w miechy. Szeroko rozprzestrzenione było barwienie metali. Do miedzi lub srebra dodawano małe cząstki złota, a następnie traktowano te stopy kwasem, celem rozpuszczenia miękkich metali, starając się przy tym, aby drobinki złota pozostały na powierzchni przedmiotu. W tym też celu starożytni złotnicy wydobywali kwasy z pewnych roślin, a wśród nich także kwas szczawiowy.

Poza tym używano połączeń kilku metali: złoto lutowano ze srebrem lub platyną, a różnobarwne złoto łączono w jednym przedmiocie. Prace te są przykładem wysokich kwalifikacji złotników na tych terenach. Narzędzia stosowane do obróbki złota były wyjątkowo proste. Płaskie kamienie służyły jako kowadła, podłużne — jako młoty. Używano noży i dłut z miedzi, a do polerowania — twardych kamieni o różnych kształtach. Czynnikiem decydującym był talent złotników ich wyjątkowe poczucie piękna.

Złote koleczyki zdobione kamieniami szlachetnymi i półszlachetnymi



WITAMINY

Brak witamin w organizmie może przyczynić się do chorób mniej lub bardziej poważnych. Do najbardziej potrzebnych organizmowi witamin należą witaminy — A, B, C, D.

Niedobór witaminy A powoduje np. tzw. „kurza ślepotę” oraz rogowacenie naskórka. Często zastanawiamy się nad zajadami, na skutek czego się one tworzą. Otóż powstają one na skutek braku witaminy B. Brak witaminy B powoduje również uporczywe zaparcie, osłabienie, brak apetytu.

Owoce i jarzyny są najbogatszym źródłem witamin. Marchew, szpinak, natka pietruszki, sałata, jarmuż, pomidory i śliwki zawierają duże ilości witaminy A. Witamina B znajduje się w ziemniakach, natomiast witamina C w świeżych owocach. Jest ona jednak nie trwała, ginie w wodzie. Jarzyny i owoce nie należy moczyć w wodzie, lecz płukać pod bieżącą wodą, kroić na szkle lub porcelanie, nierzadym nożem i jeść po przyrządzeniu.

ZOFIA

Oprac. H. CIOK



Wydawca: Społeczne Towarzystwo Polskich Katolików. Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. KOLEGIUM REDAKCYJNE PEŁNIĄCE FUNKCJĘ REDAKTORA NACZELNEGO: ks. Edward Bołektier, hp. Maksymilian Rode, ks. Tomasz Wajtowicz, ks. Wiktor Wysocki (przewodniczący Kolegium). ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Marek Ambiczy, Marek Dziegielewski (redaktor graficzny), Henryk Ciok (redaktor techniczny), Małgorzata Kapińska (sekretarz redakcji), Elżbieta Raszkowska.

Adres redakcji i administracji: ul. Kredytowa 4, 00-062 Warszawa. Telefon redakcji: 27-69-25 i 27-03-33; administracji: 27-84-33.

Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczytelle w terminach: — do dnia 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i cały rok następny; — do 10 marca na II kwartał roku bieżącego; — do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze roku bieżącego; — do 10 września na IV kwartał roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalnie 26 zł, półrocznie 52, rocznie 104 zł. Jednostki gospodarki społecznej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych i u doręczyteli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Pras i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NEF nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Druk PZG Sm. 10. N. 15050. Z. 245. O. 56.

rodzina
TYGODNIK KATOLICKI



Stefcia spojrziała na portrecik, drgnęła.
 — Ja to gdzieś widziałam... ja to znam!
 Starzec zatrzymał na niej uważny wzrok.
 — Widziałeś tę miniaturę? Gdzie, jakim sposobem? Chyba się mylisz, dziecko! A może... Idalka ci pokazywała?
 — Nie, nie... ale widziałam na pewno.
 — Może taki sam portret mój spotkałaś w jakimś bardzo starym piśmie? To możliwe! dawniej byłem człowiekiem trochę interesującym ogół.
 Stefcia kręciła głową z powątpiewaniem.
 — Może być — rzekła wreszcie bez przekonania.
 Pan Maciej podał jej miniaturę.
 — Przygotowałem to dla ciebie na upominek imienninowy. Sądziłem, że będziesz rada z dawnej podobizny człowieka bardzo ci życzliwego.
 Stefcia pochylała się do niego serdecznie.
 — Dziękuję bardzo. To dla mnie będzie wielką pamiątką. Czy zasłużyłam na nią? To jak relikwie rodzinne.
 — Miałem takich kilka egzemplarzy, rozdałem członkom rodziny i mam dla siebie jeden. Ten ostatni przeznaczyłem dla ciebie, dziecko... Tyś taka do niej podobna, do mojej Steni. Pokażę ci jeszcze kiedy i jej miniaturkę... mam jedną tylko i to moje relikwie.
 Starzec, wzruszony, ścisnął głowę Stefci i rzekł dziwnie miękko:
 — Baw się dobrze, dziecko. Dziś twoje święto, nie płacz i bądź szczęśliwa. Tyś jeszcze taka młoda.
 Wróciwszy do siebie, Stefcia przyglądała się miniaturze z nieokreślonym wrażeniem. Twarz przypominała Waldemara. Zmieniał ją tylko ubiór i sposób noszenia włosów. Zresztą były to te same rysy.
 Stefcia starała się przypomnieć sobie, gdzie i kiedy widziała już podobny medalion. Wspomnienie mętne łączyło się uparcie z jej dzieciństwem w pierwszych latach.
 Patrzyła na miniaturkę, utonęła w niej wzrokiem. Podobieństwo Waldemara wydało jej się wybitniejszym. Szepnęła:
 — Czy znowu nie przyjedzie tak długo! Dlaczego wczoraj odjechał, dlaczego zmieniony?..
 Stefcia myślała o nim ciągle, nie chcąc przyznać sama przed sobą, że przykrym był dla niej wyjazd jego w przeddzień jej imiennin.
 Broniła się przed tą goryczą, chciała być wesołą i nie mogła. Dławił ją żal, czuła pustkę dookoła siebie.
 Przed obiadem wyszła z Lucją na pieszy spacer. Poszły do lasu za ogrodem. Tam Stefcia przypomniła sobie spotkanie z Waldemarem w maju, jego docińki i szyderstwo. Przypomina swój gniew, ostre odpowiedzi i niechęć, jaką wówczas czuła do sztychającego magnata. Bała się go, wzdudzała w niej paniczny strach. Żaciekawił ją, drażnił, imponował jej zawsze i to ją gniewało, że źle czy dobrze, lecz musiała o nim myśleć.
 Dziś, uczucia zmieniły się: instynktowny lęk przed nim nie zniknął, nawet wzmościł się, lecz w innym kierunku. Uczuć dzisiejszych nie chciała nazwać po imieniu, zamykając przed nimi oczy.
 Lucja, widząc jej zamyślenie, odhiegła opodal. W jej młodej główce powstawały domysły, których nie miała przed kim wynurzyć, matki obawiając się, przed dziadkiem nie chcąc.
 Podejrzenia swe trzymała w tajemnicy, bojąc się zdradzić. Nie uszła jej uwagi zmiana stosunku Waldemara do Stefci. Lucja widziała, że się tu zmieniło wszystko, i rozumiała kierunek. Waldemar zdumiewał ją, Stefcię zaczęła badać. I ona uległa zmianie. Jej dawna wesołość stała się mniej bujną. Lucję to zastanowiło. Tak idąc, każda zajęta swymi myślami, znalazły się na drodze leśnej. Lucja szła przed, wkrótce wyprzedziła Stefcię. Nagle na skrócie drogi stanęła zdziwiona. Naprzeciw niej jechała czwórka rozpędzonych koni. Lucja poznała zaprzęg głębowski i orientując się, momentalnie skoczyła w bok do lasu. Zgadła, że Waldemar wiedział o imienninach Stefci i że przyjeżdża głównie dla niej; chciała z boku zobaczyć ich powitanie.
 Stefcia nie zauważyła manewru dziewczynki, ale nie widząc jej przed sobą, zawołała na nią. Lucja nie odpowiedziała. Wtem zatętnił głośny bieg koni i z zalamu drogi wypadła na nią stroszna, brzęcząca czwórka dobrze znanych karych arabsów. Amerykanem powoził sam Waldemar, stangret siedział z tyłu.
 Stefcia zatrzęsła się. Ognie uderzyły jej do głowy. Stała jak wryta, całą siłą woli nakazując sobie spokój. Waldemar spostrzegł ją. Błyskawica zaświeciła mu w oczach. Gwałtownie wstrzymał konie i uniósł kapelusze z głowy. Zeskakując z amerykańka, zawołał na stangreta:
 — Jedź na skraj lasu. Tam staniesz.
 Stefcia oprzytomniała, widząc ordynata przed sobą.
 Uściskał silnie rękę. Przez chwilę trwała cisza. On rzekł niskim głosem:
 — Jak to dobrze. Spotkałem panią znowu w tym borcu.
 — Jak w maju. Teraz jesień!
 — Można i w zimie stworzyć sobie maj.
 Stefcia milczała.
 — Zapomniałem ujrzawszy panią o jednym celu mej podróży. Dziś pani święto... Pospolitych życzeń nie znoszę... ponieważ jednak szablon trzeba zachować...

Stefcia przerwała:
 — Nie, po co? Dość, że pan przyjechał. To dowodzi pamięci, to wystarcza...
 Dziękuję!..
 Podniósł do ust jej rękę z wytwornym pochyleniem głowy. Gorące dotknięcie jego ust sprawiło na niej wrażenie prądu elektrycznego. Mówiącego wyrazu jego oczu nie zniósła — spuściła powieki.
 Szli obok siebie w milczeniu, po czym on rzekł znowu:
 — Imienniny są dla mnie najnieznośniejszym dniem w roku.
 Nie lubię hiletów, które są konwencjonalnym, ale często fałszywym szyldem. Sam rozsyłałem je rzadko. Do osób, które mię bliżej obchodzą, zjawiam się osobiście — dodał z lekkim skinieniem głowy w jej stronę.
 Różowy obłok wionął na twarz Stefci.
 On mówił dalej:
 — Nie umiem składać życzeń „wszelkich pomyślności, szczęścia”. Podobne frazesy nie sprawiają mi ulgi wówczas, gdy naprawdę chciałbym komuś nieba przychylić, nieba według mego pojęcia, jakie może nie istnieć na ziemi. Ale do tego nie potrzeba koniecznie imiennin. Wyrażanie uczuć jest jak opłatek, którym się łamie tylko w Wigilie. Imienniny to jako odpust: wszyscy się zbiegają do solenizanta, ale najczęściej chodzi o ten pospolity acte de presence, co jest według mnie najgłupszą instytucją na świecie.
 Stefcia uśmiechnęła się.
 — Jednak i pan został dziś członkiem tej zniechęconej instytucji.
 Waldemar zmarszczył brwi.
 — Nie, pani. Mój przyjazd dzisiejszy można postawić w nawiasy jedynie obok zdania wypowiedzianego przeze mnie wpierrw. Do osób dla mnie obowiązkowych przyjeżdżam zaproszony na hal, ale nigdy w dzień.
 Stefcia zmieszana się, zaczęła wolać głośno:
 — Luciu! Luciu!
 Waldemar zapytał ze zdziwieniem:
 — Pani nie jest samą?
 — Jestem z Lucją, ale gdzieś mi się podziła.
 Wtem zaszeleściły gałęzie i Lucja z rozpędem wybiegła z krzaków. Twarz miała rozognioną i błyszczące oczy.
 — Gdzie biegłaś tak długo? — spytała Stefcia.
 — Zapędziłam się za orzechami. Jakie mnóstwo!
 — Gdzież one są? Nazbierałaś, skoro takie mnóstwo? — pytał Waldemar, patrząc badawczo na dziewczynkę.
 Lucja spuściła oczy.
 — Nie zbierałam, jadłam tylko. Zresztą daleko biegłam.
 — Dziwna rzecz, nie widać na tobie śladów tej dalekiej podróży po krzakach.
 Stefcia zaśmiała się.
 — I niewiele zużyłaś na to czasu, bo znikłaś mi przed samym przyjazdem pana. Oj ty!... Ale czemu się nie witasz?
 — Zaaferowana orzechami — rzekł z dziwnym uśmiechem Waldemar.
 Lucja czerwona powitała Waldemara trochę nieśmiało. Zrozumiała, że odgadł cel jej wyprawy, i zlekka się.
 Teraz miała już pewność, że Waldemar jest zajęty Stefcią. Z ukrycia swego widziała ich doskonale. Słów dosłyszeć nie mogła, zaledwie kilka wyrazów, ale pocałunek złożony przez Waldemara na ręce Stefci wydał jej się dokummentem bardzo ważnym.
 — Waldy, czy przyjechałeś konno, czy powozem? — zagadnęła po chwili z naiwną minką.
 — Amerykanem. Może to już czas wracać?
 Stracił ochotę do rozmowy przy Luci. Spojrzął na zegarek: dochodziła druga.
 Lucja zawołała, że czas na obiad. Zwrócił się w stronę powrotną. Gdy zrównali się z końmi, Waldemar zaproponował przejazdówkę. Usadowił Stefcię i Lucję na przednim siedzeniu, sam stanął za nimi, stangreta odsyłając piechotą do Słodkowic.
 — Niech pani powozi — rzekł i oddał lejce Stefci.
 Dziewczyna rozhawiała się, ranne smutki pierzchyły. Ze śmiechem zgarnęła lejce karej czwórki i ruszyła klusem. On stał pochylony nad nią, drażnił konie trzaskaniem z bata, dawał jej wskazówki, napawał się jej bliskością, pochłaniał oczyma jej włosy. Nihy poprawiając lejce, skierował konie na inną drogę, mijając Słodkowice. Stefcia spostrzegła to.
 — Jedźmy w inną stronę! — zawołała.
 — To właśnie dobrze. Po co się mamy spieszyć?
 — Ale ja głodna jestem — żaliła się Lucja — z obiadem czekają!
 Stefcia, nie mówiąc, skróciła lejce. Rozhukana czwórka zawróciła na miejsce i zaczęła się platać.
 — Co pani robi! — krzyknął Waldemar chwytając lejce.
 Szarpnął i zrównał konie, lecz w tej samej chwili czepek uderzył dyszlową klacz w nogę. Rzuciła się gwałtownie i cała czwórka zaczęła ponosić.